

RODZIEWICZÓWNA MARIA

**MIĘDZY USTAMI A
BRZEGIEM PUCHARU**

Rodziewiczówna Maria

Między ustami a brzegiem pucharu

«Public Domain»

Maria R.

Między ustami a brzegiem pucharu / R. Maria — «Public Domain»,

Opowieść o tym, jak Prusaka nauczyć porządku po polsku (z cyklu historii pisanych „ku pokrzepieniu serc”). Hrabia Wentzel Croy-Dülmen ma wszystko, czego może pragnąć młody mężczyzna: ogromny majątek, powodzenie u kobiet i z high life'u, i z półświatka, dobraną kompanię przyjaciół do wspólnych zabaw oraz zdrowie i urodę. Miary szczęścia absolutnego dopełnia całkowity brak nadzoru ze strony starszych. Jednak spotkanie z pewną tajemniczą, niewrażliwą na jego wdzięk i przymioty damą całkowicie odmieni jego życie, czyniąc mało wartościowym wszystko, co miał dotychczas, za to wyznaczając mu nowe, niełatwe do osiągnięcia cele.

Содержание

I	5
II	12
III	21
IV	26
V	33
VI	40
Конец ознакомительного фрагмента.	45

Maria Rodziewiczówna

Między ustami a brzegiem pucharu

I

Berlin spał. Pogasły światła po magazynach, po teatrach, po mieszkaniach filistrów, po suterynach i strychach.

Gaz tylko migotał w ulicznych latarniach i świeciły jeszcze okna klubów karciarzy, restauracji podrzędnych, sal tańca i aptek.

Długa linia pałaców Pod Lipami¹ spała też – drzemały kariatydy² balkonowe, zapadały i ginęły w mroku ornamentacje okien i drzwi. Ruch tej pierwszorzędnej arterii ustawał. Z rzadka zaturkotał spóźniony powóz lub przechodzień przesunął się pośpiesznie, wracając z zabawy do domu: Berlin spał.

Tylko w pałacu hrabiny Aurory Carolath czuвано jeszcze. Dwa okna pierwszego piętra rzucały stłumiony blask zza ciężkich firanek, a za tymi oknami w prywatnym buduarze hrabiny, wyłożonym jak bombonierka, nie myślano o spoczynku. Młoda, cudownie piękna kobieta leżała na wpół na fotelu w koronkowym neglizżu, obnażonymi rączkami rozplatając od niechcienia złote, przepyszne warkocze.

U jej nóg prawie, na taborecie, rozparty wygodnie, z głową na jej kolanach, młody jak ona i jak ona piękny mężczyzna przypatrywał się tej złotej fali, co mu chwilami muskała twarz i nucił półgłosem *Lorelei*³.

Para ta była na model dla malarza: ona – smukła, ślicznie zbudowana, o twarzy z greckiego posągu, ale żywej, zalotnej, a śmiejącej się całym urokiem białych ząbków, koralowych ust i zmrużonych, sfinksowych oczu; on – wybujały jak topola, silny, dumny, ciemnowłosy, zapatrzonej w kobietę całym ogniem wyrazistych ciemnoszafirowych źrenic.

Był w nim pierwiastek germański wielkiej siły i twardego wyrazu, a obok tego jakiś inny typ delikatniejszy, ognisty, zuchwały a wesoły. W spojrzeniu była dziwna mieszanina – pożądania i cynizmu, swawoli i przesytu: musiał to być człowiek bardzo szczęśliwy, bardzo bogaty i bardzo pieszczony przez życie.

– Wszak odesłałeś konie, Wentzel? – zaczęła po małej przerwie piękna pani.

– Naturalnie.

– Lubię cię za to!

– Za co? – spytał, biorąc pierścień jej włosów i bawiąc się nim.

– Za to, że mną się nie afiszujesz.

Młody człowiek się zaśmiał.

– Nie uznaję tego za pochwałę. Afiszują się tylko błazny i parweniusze. Czyż mnie zaliczasz do jednej z tych kategorii?

– Ejże, bohaterze! Zdarza się to i tobie!

– Może być. Jeżeli kogo nie cenię lub nie kocham.

¹ linia pałaców Pod Lipami – chodzi o zabudowania wzdłuż alei Unter den Linden (dosł. „pod lipami”), głównego bulwaru starego Berlina, obsadzonego lipami jeszcze w XVII w.; wzdłuż alei tej, prowadzącej od siedziby elektorów do bramy miasta (tzw. bramy brandenburskiej) mieściły się najważniejsze budowle reprezentacyjne i najbardziej okazałe pałace oraz np. Ogród Zoologiczny (*Tiergarten*). [przypis edytorski]

² kariatyda – podpora architektoniczna w kształcie postaci kobiecej dźwigającej na głowie np. balkon. [przypis edytorski]

³ *Lorelei* – tu: tytuł pieśni skomponowanej przez Franciszka Liszt (1811–1886) do słów poematu Heinricha Heinego (1797–1856) opowiadającego tradycyjną legendę niem. o złotowłosej, pięknej dziewczynie imieniem Lorelei (a. Loreley), która z powodu zdrady swego kochanka rzuciła się w rozpacz w nurt Renu z nadbrzeżnej skały, po czym została zamieniona w syrenę i odtąd zwodziła rybaków i doprowadzała ich łodzią do rozbicia; wysmukła skała nosić miała na pamiątkę tego zdarzenia imię dziewczyny, a u jej podnóża miał zostać ukryty skarb Nibelungów. [przypis redakcyjny]

– Więc mnie cenisz i kochasz niby?
– Tak, ciebie jedynie, teraz i podobno zawsze!
– A jednak dla mnie nie poświęciłbyś tysiąca owych stosunków, gdzie nie cenisz i nie kochasz?
– Nie, jutrzeńko. Ani jednego!
– Pfe! Prawisz impertynencje.
– Pfe! Jesteś zazdrosna jak subretka⁴! – odrzucił wesoło, całując białą rączkę.
– Wiesz, stanowczo zrywam z tobą! Nie chcę być jedną z wielu.
– Ja jednak cierpliwie znoszę takie stanowisko.
– Ty szkaradna istoto! Powiedz choć jedno.
– Dziesięć, Auroro! *Primo*⁵: twój mąż...
– Ech, admirał to amfibia, którego już dwa lata nie widziałam, i żeby nie portret w sali, to bym nie poznała bez rekomendacji.

– *Secundo*⁶: księżę Herbert.
– Ach, nonsens! Zaśmiałam się może parę razy.
– *Tertio*⁷: ten kuzynek z Harcu!
– Musiałeś dzisiaj pić za wiele przy kolacji... bredzisz! – rzuciła z dąsem, a potem nagle przechyliła się ku niemu i, skubiąc zalotnie jego kędzierzawą czuprynę, spytała z przymileniem:
– Ale ty mnie kochasz, szkaradniku... nie rzuciłbyś dla nikogo!
– Dla nikogo, nigdy, Auroro! – odparł bez namysłu.
– Słowo hrabiego Croy-Dülmen?
– Słowo twojego Wentzla.
– Masz, pocałuj mnie za to.

Chwilę milczeli oboje w namiętym uścisku i pozostali przytuleni do siebie, szepcząc stłumionym głosem.

– Wiesz – mówiła kobieta – czemu dziś takam niespokojna⁸? Cały świat cię swata, żeni na gwałt! Zastawiają na ciebie sieci, spiskują, intrygują! Ach, po coś ty taki bogaty, wielki pan, pierwsza partia, i taki piękny!

– Ciekawym⁹, czybym tu siedział, gdyby mnie los stworzył chromym, zezowatym, rudym i lampucерem¹⁰ na przykład? Któż to mnie pożąda?

– Wszystkie panny, wdowy, rozwódki i mężatki! Wszyscy ojcowie, opiekunowie, matki, ciotki itd. Imię ich: legion!

– Włosy mi się jeżą ze zgrozy.
– I nic więcej?
– Nic!

Kobieta złote swe włosy okręciła mu około głowy i szyi i, zaciskając te czarodziejskie, jedwabiste pęta, szeptała w pocałunkach:

– Och, a ja cię tak kocham... ubóstwiam... nie dam nikomu, nigdy!
Mógł być dumny i próżny ten człowiek – i nie dziw, że do gruntu popsuty był swym szczęściem.
Tymczasem zegar w sąsiednim pokoju wybił powoli drugą godzinę.
Metaliczny dźwięk zbudził oboje. Hrabina drgnęła przerażona, hrabia wstał opieszale.

– Będiesz mi złorzeczyła, moja jutrzeńko! Nabawię cię złej cery i migreny, a jutro u książąt Hohenlohe! Dobranoc!

⁴ *subretka* (z fr. *soubrette*) – pokojówka; także: typ postaci sprytnej służącej występującej w komedii. [przypis edytorski]

⁵ *primo* (łac.) – po pierwsze. [przypis edytorski]

⁶ *secundo* (łac.) – po drugie. [przypis edytorski]

⁷ *tertio* (łac.) – po trzecie. [przypis edytorski]

⁸ *takam niespokojna* – skrócone od: taka jestem niespokojna. [przypis edytorski]

⁹ *ciekawym* – skrócone od: ciekawy jestem. [przypis edytorski]

¹⁰ *lampucер* (z niem. *Lampenputzer*) – latarnik, oprawiający i zapalający uliczne lampy. [przypis redakcyjny]

Uściskał ją raz jeszcze, ucałował rękę i wyszedł dobrze sobie znanym bocznym przejściem. W bramie zapalił cygaro, podniósł kołnierz paltota, bo go chłód owiał – i z rękami w kieszeniach ruszył ku domowi.

Pałac jego leżał niedaleko, ale go nie nęcił spoczynek; skręcił w boczną ulicę i poszedł bez celu, ot tak, żeby rozprostować nogi, może opędzić się od chwilowego rozdenerwowania.

Półgłosem nucił znowu *Lorelei*.

Nagle, o kilkanaście kroków przed sobą, ujrzał dwie postacie – kobietą i męską; doleciał go głos niecierpliwy, a drugi natrętny; potem kobieta przyśpieszyła kroku – szukała widocznie obrony w ucieczce – mężczyzna nie ustępował.

– Daj buzi, panienczko! – posłyszał hrabia głos swego znajomego, sławnego birbanta¹¹ i awanturnika. – Znaku nie będzie na ustach, a jak mi dasz, to ci oddam! Po nocy wszystko wolno. Ejże, nie uciekniesz! Po woli czy po niewoli!

Kilku skokami dopędził uciekającą, ujął ją za ramię – był widocznie tego podchmielony.

Kobieta szarpnęła się gwałtownie i dostrzegając hrabiego rzuciła się ku niemu.

– Proszę mnie odprowadzić do domu! – rzekła zdyszana, wsuwając rękę pod jego ramię.

Napastnik poskoczył – znalazł się oko w oko z hrabią – zdumiał się.

– A, to ty, Wentzel! No, nie przeszkadzaj! Albo pomóż dać rady tej zbląkanej turkawce. Widziałeś, ładna!

– Tę panią ja, mój drogi, odprowadzę do domu, bo mnie o to prosiła! Odegrałeś swoją rolę, idź za kulisy i odeśpij chmiel należycie.

– A to co znowu? Idź swoją drogą! Jak dostanę buziaka, to ci pozwolę o drugi się postarać! Marsz, panie eks-kapitanie, do koszar!

Postąpił o krok, wyciągnął rękę do kobiety, ale hrabia ją zaślonił sobą, zmarszczył brwi.

– No, dosyć tego! Przegrałeś bitwę, panie baronie Wertheim, bierz się do odwrotu. Ze mną sobie nie pozwalaj, bo możesz pożałować. Dama ta jest i zostanie pod moją opieką, dopóki zechce, a panu, jeśli się to nie podoba, zostaje wolna droga rozmówienia się ze mną jutro, w moim mieszkaniu. Marsz!

– Rozmówimy się na szpady, panie hrabio Croy-Dülmen! – krzyknął podpity panicz.

– A choćby na szydła! Jak się panu podoba! – odparł swobodnie hrabia. – Tymczasem żegnam!

Minął napastnika i spytał kobietę o adres. Baron włożył ręce w kieszenie i roześmiał się lekceważąco:

– Wylazło szydło z worka, Metysie¹²! Warcholska krew twych przodków po kądzieli¹³ nie ginie. Jako Niemiec, ja burd nie lubię. Ustępuję z placu.

Po pięknej twarzy hrabiego przeszedł gorący rumieniec: uwolnił rękę kobiety, obrócił się jak ruszony sprężyną.

– Powtórz, błaznie! – krzyknął zdławionym od wściekłości głosem.

– Powtórzę! – odparł tamten zuchwale. – Jesteś mieszańcem; o tym wiesz sam dobrze i nie ja pierwszy ci to mówię.

– I nie pierwszy odpowiesz za obelgę. Przodkowie moi walczyli pod Barbarossą, byli tak rdzennie Germanami jak góry Schwarzwald i Sprewy; każdy z nas służył krajowi dłonią, głową, mieniem, wszystkim. Mam krew mieszaną... ha! Za to ci jutro twoją czystą wytoczę, jakem Prusak!

Głos mu świstał przez zaciśnięte zęby; wziął ramię przeciwnika i wstrząsnął nim. Przewyższał go o głowę, a uścisk był żelazny.

– Ruszaj pan swoją drogą, bo dalej nie ręcę za siebie. Mogę zapomnieć, żeśmy obaj szlachtą.

¹¹ *birbant* – pijak. [przypis edytorski]

¹² *Metys* – osoba, której jedno z rodziców jest Indianinem/Indianką, a drugie rasy białej; tu przen.: mieszaniec (rasowy). [przypis edytorski]

¹³ *po kądzieli* – ze strony rodziny matki. [przypis edytorski]

Wyraz jego twarzy i ton zmieszały barona i oprzytomniły; usunął się na bok i zgiął w bocznej ulicy.

Młody człowiek zwrócił się do swej damy i uchylił kapelusza.

– Pani daruje zwłokę. Służę.

Rozdrażnienie drgało mu jeszcze w głosie, a twarz przed chwilą niefrasobliwa i uśmiechnięta, zachowała wyraz dzikiej zaciętości i ledwie hamowanego wybuchu.

Kobieta przez ciąg tej sceny stała opodal i słuchała uważnie, z brwią ściągniętą i widoczną przykrością. Twarz jej, delikatna, blada, mieniła się tysiącem wrażeń. Wielkie, piwne oczy patrzyły ostro na hrabiego. Widniał w nich gniew i obraza. Niecierpliwie zagryzła usta.

Gdy jej podał ramię, usunęła się na bok i ruszyła naprzód w milczeniu.

Piękny panicz czuł się w obowiązku zagaić rozmowę.

– Co za mgła! – rzekł już swobodniej, równając się z nią. – I ani jednej dorożki. Nie śmiem proponować pani zwrócenia się do mego pałacu. Kareta byłaby za pięć minut.

– O, dziękuję. Mgła mi nic nie szkodzi... Żeby nie przykre spotkanie... Droga moja zaraz się kończy!

Mówiła po francusku bardzo poprawnie, więc i on zaczął w tym języku.

– Może mi pani pozwoli nieść pakiecik – rzekł, wyciągając rękę po flaszeczkę, którą trzymała.

– Dziękuję. To lekarstwo, tak trudno zdobyte, doniosę sama – odparła.

– Pani ma kogo chorego?

Skinęła tylko głową.

Obserwował ją spod oka. Była istotnie uderzająco piękna – pięknnością poważną, klasyczną, nakazującą szacunek i względy. Trzeba było być bardzo pijanym lub zuchwałym, by ją zaczepić jak pierwszą lepszą.

Głos miała głęboki, trochę ponury; rysy spokojne i chłodne; oczy zamyślane, głębokie, okryte rzęsami – podnosiła je rzadko; usta dumne, małe, musiały się bardzo niewiele uśmiechać.

Typ to był niepospolity – zwróciłby i w tłumie uwagę, patrząc na nią, uczuwał¹⁴ gwałtowną chęć zbudzenia życia w tych poważnych rysach, rozjaśnienia śmiechem ust zaciętych, rozświecenia blaskiem mrocznych źrenic.

Byłaby wtedy porywającym czarem.

Hrabia był znawcą i bałamutem z zawodu. Wspomnienie barona zbladło mu w pamięci, postanowił – on, niezwalczony Antinous¹⁵ – spróbować swej siły i zręczności, pobawić się jak tamten. Noc i tak miała się ku schyłkowi.

– Pani jest cudzoziemką? – spytał.

– O, najzupełniej!

– Sądząc z tonu, nie lubi pani Niemców.

– Jak mało czego na świecie – odparła szczerze.

– Pani ma do tego jakie powody? Jesteśmy przecie pierwszym narodem w Europie.

– Pod względem zarozumiałości, niezawodnie.

– Nie, pani. Szanujemy się tylko. Chęć przodowania i duma jest godłem siły, energii i rozumu.

Wielkość swoją cenimy, bośmy ją ciężko zdobyli.

– O, pan ją ceni niesłychanie. Słyszałam to przed chwilą.

– I pani by nie zniosła, gdyby zarzucono wam pochodzenie... żydowskie na przykład.

– Jeżeli matka pana była Żydówką, powinien pan Żydów szanować przez pamięć na nią.

¹⁴ *uczuć* – dziś raczej: czuć, odczuwać. [przypis edytorski]

¹⁵ *Antinous* a. *Antinoos* – piękny młodzieniec pochodzący z Grecji, wychowanek i kochanek cesarza Hadriana (76–138; władca Rzymu od 117 r.n.e.), który w miejscu, gdzie chłopiec, mając niespełna 20 lat, utonął w Nilu w 130 r. założył miasto Antinoopolis, ogłosił też Antinoosa herosem, wznosił mu świątynie i uczcił go licznymi rzeźbami, portretami itp.; tu przen.: ideał męskiej młodzieńczej urody. [przypis edytorski]

– W tym się najzupełniej z panią nie zgadzam. Jeżeli matka nasza była straganiarką, nie czujemy się przecie w obowiązku zachwyty dla przekupek, ani nam to chwały przysparza. Matka moja była Polką z Poznania; ojciec mój zrobił mezalians, za który ja pokutuję! Jest to plama na tarczy herbowej Croy-Dülmen. Polaków nie cierpię. Stosunków z nimi nie miałem i mieć nie będę, a jednak nazwa mieszaniec przywarła do mnie, choć już trzech śmiałków za nią odpokutowało, a jutro czwarty odpowie!

Zapalił się i uniósł. Słowa mu płynęły gniewne, burzliwe, pełne wzgardy i lekceważenia. Kobieta podniosła nań wzrok poważny, zatrzymała chwilę na jego twarzy przejmujące spojrzenie, zmarszczyła ciemne brwi.

– Człowiek, który się wstydzi swego pochodzenia jest albo nikczemny, albo słaby! – rzuciła przez zęby.

– Pani jest bardzo surowa dla mnie, nieznajomego.

– Owszem, znam pana. Ma pan pałac Pod Lipami, dobra nad Renem, kapitały w banku. Posiada pan nadto: starego opiekuna, majora Koop, ciotkę, Dorę von Eschenbach, i wiele, wiele serc sentymentalnych Niemek na własność. Jest pan próżniak, hulaka i pyszałek, sławny z piękności, salonowych manier, wielkiej odwagi i dyskrecji. Czy się pan poznaje z tego portretu?

– Z tej karykatury, pozwoli pani dodać? – zaśmiał się swobodnie. – Sława moja musi daleko sięgać, jeśli doścignęła aż obcych, za granicami Prus. Pani Francuzka?

– Jestem z rzeczypospolitej San Marino – odparła z lekkim uśmiechem.

– Jeżeli damy w owej republice są do pani podobne, to ubolewam nad dolą tamtejszych obywateli. Biedacy muszą być jak Bayard¹⁶, *sans peur ni reproche*¹⁷.

– Bayard nie uważał się wcale za biedaka, o ile pamiętam z historii, a nasi obywatele, chwała Bogu, nie są w niczym do Prusaków podobni. Mamy dla nich należne względy.

– Muszą to być bardzo lodowate względy.

– Kto co lubi. Nasze mężatki nie przyjmują paniczów po buduarach; nasze panny nie noszą serc na dłoni i na ustach; nasze matrony nie kupczą krasą swych córek! Jesteśmy jednak kochane stokroć silniej niż wasze *Fraülein*¹⁸ i *Madame*¹⁹.

– Syzyfowa praca być musi dla zdobycia owych serc ukrytych.

– Nasi mężczyźni do tego przywykli.

– Winszuję, ale nie zazdroszczę. Nie lubię z zasady trudnych rzeczy.

– Wszakżem panu mówiła, żeś próżniak. Toteż serca nasze nie dla pruskich knechtów²⁰, ani dla rycerzy Barbarossy²¹! My i wy... to antypody²²!

Stała nagle i zwróciła się do niego.

– Oto i koniec pana poświęceń i mojej wędrówki. Dziękuję za grzeczność i obronę.

– Czy w San Marino za usługę nie płacą? – spytał z uśmiechem.

– Owszem, jeśli wymagania słuszne. Mogę panu dać za kurs posłańca.

¹⁶ *Bayard* (1473–1524) – właśc. Pierre du Terrail de Bayard, dowódca wojsk fr. okresu wojen wł., zw. rycerzem bez trwogi i skazy (fr. *chevalier sans peur et sans reproche*); ideał rycerza. [przypis edytorski]

¹⁷ *sans peur ni reproche* (fr.) – bez trwogi ani skazy. [przypis edytorski]

¹⁸ *Fraülein* (niem.) – panna. [przypis edytorski]

¹⁹ *Madame* (fr.) – pani. [przypis edytorski]

²⁰ *knecht* (z niem. *Knecht*: parobek) – żołnierz pieszy w daw. wojsku niem. [przypis edytorski]

²¹ *Fryderyk I Barbarossa* (ok. 1125–1190) – książę z dynastii Hohenstaufów, cesarz niem. Św. Cesarstwa Rzymskiego (od 1155 r.); wiąże się z nim mit potęgi Rzeszy Niemieckiej jako kontynuatorki tradycji staroż. Rzymu; odnowił spór o inwestyturę (tj. stosunek lenny cesarza względem papieża), zakończony jego ukorzeniem przed papieżem Aleksandrem III; prowadził wojny z miastami na północy Włoch (przerwane po klęsce pod Legano 1176); zorganizował III krucjatę (1189), podczas której utonął przepływając się przez rzekę Salef, na ziemiach Seldżuków (dzisiejsza płd. Turcja); według legendy Fryderyk nie utonął, lecz śpi wraz ze swymi rycerzami w jaskini w górach Kyffhäuser w Turynii, by kiedyś powrócić i przywołać znów Niemcy do świetności, zapewniając im naczelną pozycję wśród państw europejskich. [przypis edytorski]

²² *antypody* – przeciwne bieguny; tu: w znaczeniu przenośnym w odniesieniu do charakterów ludzi. [przypis edytorski]

– To za wiele! Nie chodzi tu o kurs, ale o życie moje, które jutro narażę za panią.

– Za mnie! – zaśmiała się ironicznie. – Sprzeczkę o kobietę zapilibyście jutro szampanem. Pan będzie walczył o swój honor pruski, niecierpiący skazy mezaliansu z Polką czy Żydówką. Za to... ja nie płacę.

– Będę miał dwa pojedynki, jeśli nie padnę. Szampanem nie łagodzę sprzeczek. Otóż za ów pierwszy pani powinna płacić, a raczej dać coś od siebie, żebym wiedział, za co się biję.

– Na przykład co?

– Ach, drobiazg! Pamiątkę... jeden pocałunek...

Cofnęła się o krok, zarumieniła jak maki polne i, rzucając mu spojrzenie obrażonej królowny, odparła z niesłychaną dumą:

– Na ten drobiazg nie starczyłoby panu milionów. U nas się nie sprzedaje pocałunków. Daje się je darmo albo nie daje wcale!

– A żeby dostać?

– Żeby dostać, trzeba być obywatelem Rzeczypospolitej San Marino i szlachetnym człowiekiem... wówczas można proponować!

– Więc dla mnie droga zamknięta?

– I owszem! Gdy pan przyjmie jako obrazę, jeśli cię kto nazwie Prusakiem, wówczas, przed takim pojedynkiem, ja panu zapłacę!

Hrabia ukłonił się głęboko.

– Pani raczy żartować! Ha, trudno! Miałem w swym życiu wiele niedorzecznych pojedynków, przybędzie jeszcze jeden! To mi jest pociechą, że będę się bił za kobietę bardzo piękną, bardzo wykształconą... i bardzo niedostępną.

– Za komplement dziękuję i żegnam! – rzekła szyderczo.

– I ja dziękuję za kilka moralnych nauk i... do zobaczenia. Postaram się zobaczyć jeszcze panią.

– Jeśli mnie pan odszuka, o czym wątpię. Do San Marino bardzo daleko, a pan próżniak.

– Mogę się założyć, że panią znajdę za tydzień, choćby w antypodach. Umiem być wytrwały, a co postanowię, tego dotrzymam!

– Zakład przyjmuję. Żal mi daremnej pana fatygi, ale trochę upokorzenia zarozumiałości pójdzie panu na zdrowie. Zatem, do wiedzenia!

Przesunęła się jak cień obok niego i wsunęła w bramę. Rozejrzał się na prawo i lewo, zanotował numer domu, nazwę ulicy, ziewnął i zawrócił.

– Ciekawym²³, czy ja zobaczę dom dzisiejszej nocy i czy dopalę cygara? Pyszna dziewczyna! Hm! Aurora lepiej zbudowana, Lidia jeszcze sprytniejsza, a jednak ta coś ma. Pewnie ktoś z Alzacji czy Lotaryngii. Narobiliśmy sobie tam przyjaciół... aż miło, jak nas lubią. Hu! Żeby z taką mieć romans! Byłoby to coś nowego i niepospolitego! Jutro będę wiedział, co za jedna. Pyszna dziewczyna! Aaaa! Jak mi się spać chce!

Przyśpieszył kroku. Po chwili czarny kontur pałacu Croy-Dülmen zastąpił mu drogę. Minął główną bramę, w rogu budynku przystanął, dobył klucz z kieszeni i otworzył niepozorną, w korniszach ukrytą furtkę.

Klucz obrócił się lekko – snadź²⁴ był często w użyciu – drzwi się otworzyły bez szelestu, tajemniczo i wpuściły pana w galerię oświetloną gazem, wysłaną dywanami. Wzdłuż ścian kwitły cieplarniane rośliny, po niszach uśmiechały się posągi nimf i bachantek.

Na krześle u wnijścia²⁵ drzemał młody lokaj, na którego twarzy bez zarostu malowało się znużenie i niepokój. Był on uosobieniem służbistości gotowej na wszystko, wytrwałej na stanowisku.

²³ *ciekawym* – skrócone od: ciekaw jestem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

²⁴ *snadź* (daw.) – widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

²⁵ *wnijście* (daw.) – wejście. [przypis edytorski]

Na szelest drzwi porwał się, wyprostował jak struna, zamknął tajemniczą furtkę i ruszył za panem o trzy kroki, nie odzywając się pierwszy.

Z galerią łączyło się prawe skrzydło pałacu, mieszczące w sobie kawalerskie pokoje hrabiego; we frontowym gmachu były recepcyjne salony i apartamenty panny Doroty von Eschenbach; lewą stronę zajmowała służba.

Dopiero w swym gabinecie młody pan się zatrzymał, usiadł w fotelu i ziewnął po raz setny.

– Aaaa... szklanekę kseresu²⁶, Urbanie!

Nim skończył ziewnięcie, rozkaz był spełniony. Wypił wino, otarł wąsy i sięgnął opieszale po stos listów na stole.

– Że też tym ludziom nigdy nie zabraknie konceptu i atramentu! – mruzczał niecierpliwie. – Prawda, że te wszystkie miłe misywy²⁷ śpiewają dwa psalmy: pieniędzy i miłości! Aaaa... Herbert się zgrał... Lidia chce brylantowych kolczyków. Idiotyczne istoty!

– Daj mi tu papieru i pióra²⁸, Urbanie!

Przez zielone story gabinetu brzask się wdierał – hrabia wyglądał haniebnie zmęczony.

Nagryzmolił śpiesznie dwa bileciki, położył adres i skinieniem wezwał bliżej lokaja.

– Listy te odeślesz zaraz, a tamte spalisz, oprócz tego jednego. Przygotuj pistolety i szpadę... Będę się bił... Ale milczeć o tym! Nie budź mnie pod żadnym pozorem, choćby się paliło, chyba gdy ci panowie przyjdą. Nikogo zresztą nie przyjmować, zwłaszcza kobiet. Rozumiesz?

Lokaj skłonił się w milczeniu. Odzywał się tylko w nadzwyczajnej potrzebie z konieczności. Hrabia ledwie się rozebrał, już spał. Uleciały mu z myśli piękne panie, niemiecki honor, pojedynki; odpoczynku tego nie oddałby za uścisk hrabiny Aurory.

²⁶ *kseres* (ang. *sherry*) – hiszp. wino wzmocnione destylatem, zawierające 16–20% alkoholu, pochodzące z Andaluzji, z rejonu Jerez de la Frontera. [przypis edytorski]

²⁷ *misywa* – pismo, odezwa, orędzie; szczególnie: pismo poselskie, dyplomatyczne, oficjalne oświadczenie. [przypis edytorski]

²⁸ *Daj mi tu papieru i pióra* – dziś popr. z B.: daj mi tu papier i pióro. [przypis edytorski]

II

Wentzel Croy-Dülmen od dzieciństwa był panem swej woli i czynów. Wprawdzie ojciec nazaczył mu opiekuna, starego towarzysza broni i sąsiada, majora Koop, i opiekunkę, ciotkę Dorę, ale opieka to była – pozał się Boże.

Że fundusz nie zginął – zawdzięczał to tylko swemu ogromowi; że wyrostek się nie zmarnował zupełnie – to było cudem opatrności niebieskiej.

Major Koop i ciotka Dora zjeżdżali się niekiedy, opowiadali sobie okropne wybryki wychowańca, wznosili oczy i ręce do nieba, wzdychali, radzili i rozjeżdżali się do swych zajęć: major do swych dóbr nad Renem, ciotka do modłów i ofiar nabożnych. Rady nie było żadnej. Wentzel dbał o nich tyle, co o popiół z cygara. Od dziecka położenie społeczne popchnęło go w sfery arystokracji; kolegował z synami najwyższych rodów, bawił się po salonach. Młodzieniaszka, pięknego jak Apollo, porwały kobiety – zepsuły go do gruntu.

Nie był nigdy dzieckiem, a młodym duszą może ledwie parę miesięcy.

Cudem olbrzymich zdolności odbył szkoły i uniwersytet, wstąpił do wojska, z wojny francuskiej²⁹ wyniósł żelazny krzyż i parę blizn – i wystąpił z czynnej służby.

Nudziło go wszystko po pewnym czasie; kariery nie szukał, celu nie miał w życiu, nie rozumiał potrzeby pracy.

Był hulaką wielkoświatowym, pełnym form i delikatności: pod maską króla salonów krył się cynik bez żadnych zasad, nieszanujący nikogo i niczego, lekceważący świat cały, dumny swą potęgą i magnetycznym urokiem.

Należał do kilku klubów, miał przyjaciół, ile było młodzieży w stolicy; kochały go wszystkie kobiety.

Był najzupełniej z losu zadowolony.

Major Koop i ciocia Dora byli dlań nudną miksturą, jak się wyrażał.

Słuchał ich rad i perswazji, jak się słucha brzęku owadów podczas sjeisty poobiedniej.

Majora Koop zagadywał pytaniem o owcach i winie³⁰, ciotce znosił cukierki i płacił bez liku na misje jezuickie.

Staruszkę jednak było trudniej ułagodzić. Żyjąc w stolicy, słyszała więcej niż major, widziała mnóstwo podejrzanych osób i stosunków; stare damy z arystokracji składały w jej łaskawe uszy wszystkie plotki i skandale obiegające Berlin z winy jej siostrzeńca. Ultramontańska jej dusza³¹ wezbrała zgrozą, patrzyła na Wentzla jak na lokatora piekieł, mieszkanie jego obchodziła z daleka niby Sodomę, suszyła piątki³², odprawiała dewocje, składała ofiary – wszystko bezskutecznie.

Hrabia nie miałby nigdy spokoju w domu, gdyby nie to, że ciotka, przy całym zgorszeniu i zgrozie, miała słabość dla swego „chłopaka”, jak go zawsze zwała.

Za oczami była silna, w oczy oburzenie jej topniało, gniew niknął – piękny panicz ogarnął i ją swym urokiem.

²⁹ *wojna francuska* – zapewne chodzi o wojnę francusko-pruską 1870–1871. [przypis edytorski]

³⁰ *pytaniem o owcach i winie* – dziś z B.: pytaniem o owce i wino. [przypis edytorski]

³¹ *ultramontanism* (z łac. *ultramontanus*: znajdujący się za górami) – pogład głoszący, że polityka lokalnych kościołów rzymskokatolickich powinna być podporządkowana decyzjom papieża (którego siedziba znajduje się stale w Watykanie, a więc „za górami”; stąd nazwa); ultramontanism jest więc stanowiskiem oznaczającym usztywnienie doktryny kościoła katolickiego oraz centralizację władzy kościelnej; jego powstanie jako prądu myślowego wiąże się z wystąpieniem papieża Piusa VI potępiającym rewolucyjną Francję w 1791 r., a głównym teoretykiem ultramontanizmu był Joseph de Maistre (1753–1821); *ultramontańska dusza* przen.: dusza niezwykle religijna, dusza dewotki. [przypis edytorski]

³² *suszyć piątki* – pościć w piątki. [przypis edytorski]

Zresztą Croy-Dülmen w życiu swym hulaszczym mało miał czasu i ochoty na stosunki z ciotką. Bytność jego we frontowym domu należała do wypadków nadzwyczajnych, witanych z zachwytem, wspominanych bardzo długo. Robił swą obecnością łaskę staruszce.

Był to więc dla niej radosny ranek, gdy lokaj oznajmił, że hrabia zaprasza się do niej na kawę. Zakrzętała się żywo, by go ugościć, rozpędziła całą służbę – nie mogła dobrać ciast i zakąsek. Nie przeczuwała, że jej „chłopaka” zbudzili tak wcześnie dwaj sekundanci z warunkami pojedynku. Urban przygotowywał broń. Wentzel po odejściu kolegów coś pisał przy biurku, gwizdząc wojskową pobudkę. Czuł się w obowiązku pożegnania opiekunki.

Na odchodnym zawołał lokaja.

– Idź na Friedrichstrasse numer 5, koło skweru, weź listę lokatorów, wywiadź się u stróża o młodą damę, która dzisiejszej nocy wychodziła na miasto. Rozumiesz? Każ przy tym założyć konie, a list ten oddaj hrabiemu Michałowi Schöneich. Jeżeli kto się zjawi, uwiadomisz mnie u pani. *Verstanden*³³?

– *Zu Befehl, Herr Graf*³⁴!

Wentzel się ubrał i zszedł do ciotki. Pojedynek był naznaczony na poobiedzie, w lasku o parę stacji za stolicą. Było zaledwie czasu na śniadanie i parę wizyt.

Ciotka Dorota przyjęła swego jawnogrzesznika w swym saloniku, ucałowała go w głowę i oczy, posadziła u zastawionego stołu.

Położył przed nią list.

– Przez pomyłkę znalazł się u mnie. Poznają pismo majora. Ta częsta korespondencja, ciociu, mocno się wydaje podejrzana! – rzekł śmiejąc się.

– Żartuj zdrów! Pisujemy o tobie, chłopaku! Jedz tymczasem. Bardzom ci rada³⁵.

– Co to ciocia haftuje tak zawzięcie? Oczy trzeba stracić nad taką dłubaniną.

– To Panu Bogu na chwałę... stuła na twój ślub, chłopaku.

– Po cóż ten pośpiech gorączkowy? Zbutwieje cioci robota. Szkoda!

Panna Dora von Eschenbach wzniosła do sufitu spiczasty nos i szkła okularów i westchnęła żałośnie.

Wentzel popił ten srogi wyrok na stule łykiem kawy i zaśmiał się.

– To westchnienie, ciociu, było brzemienne krytyką i potępieniem. Czego cioci się chce? Towarzystwa jakiej książęcej peroneli³⁶ niby mojej żony? Niech ciocia sobie wypisze tuzin dam próżniaczek do kompanii. A może ciocia lubi dzieci? Możemy z misji sprowadzić parę chińskich bachorów. Obejdzie się to wszystko bez współudziału mej osoby!

– Wentzel, Wentzel! Żartujesz ze świętych rzeczy. Każdy porządny człowiek musi się ożenić!

– Każdy porządny człowiek powinien unikać poufałości z kobietami! Nieprawdaż, ciociu?

– No, tak, zapewne... są grzechy...

– Z tego wynikające. Słyszałem o tym. Otóż ja nie chcę mieć grzesznych stosunków. Nie chcę się starać, oświadczać, bo to, widzi ciocia, doprowadza do uścisku dłoni, do gorących spojrzeń, do pocałunków. Ergo³⁷, ja się boję żenić, bo to... niemoralne!

Miał minę mistycznie-zgorszoną.

Ciotka Dorota pokręciła głową.

– Ach! Boże! – westchnęła znowu.

³³ *verstanden* (niem.) – (czy) zrozumiano. [przypis edytorski]

³⁴ *zu Befehl, Herr Graf* (niem.) – rozkaz, panie hrabio. [przypis redakcyjny]

³⁵ *bardzom ci rada* – skrócone: bardzo [jestem] ci rada. [przypis edytorski]

³⁶ *peronela* (z fr. *péronnelle*) – osoba głupia. [przypis edytorski]

³⁷ *ergo* (łac.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

– Zamiast wzdychać, proszę zajrzeć do listu majora. O żeniactwie nie warto myśleć, bo ja się pojedynkuję za parę godzin... i może być... *caput*³⁸!

– Co ty?!... Jezusie, Mario! Znowu?!... Co miesiąc się bijesz... Ach, ja nieszczęśliwa! Co to będzie, co to będzie!

– Nic nie będzie! Na co ciocia wzywa imienia boskiego nadaremno! Wszakem nie baran na rzeź. Czy mogę zapalić papierosa?

Nic nie odrzekła, bo zanosila się od płaczu, lamentując przerywanym głosem.

Hrabia pokiwał głową.

– Otóż macie kobiety! I ciocia chce, żebym jeszcze drugą sprowadził do duetu! Jedna po siostrzeńcu, druga po mężu... ładny koncert!

Staruszka z żalości rozgniewała się.

– Tak, tak, kobiety! Gadaj to komu innemu. Masz mnie za tak naiwną! Wiem wszystko! Może to nie o jedną z tych bezecnic stawiasz życie na kartę! Gdzie gromy niebieskie na te szkaradnice, Magdaleny, Samarytanki! Czemu ich nie pławią i nie palą, nie piętnują żelazem! Sodoma, Gomora!

– Gwałtu! Z cioci byłby istny Torquemada³⁹! Aż mnie dreszcz chwyta!

Hrabia się śmiał z całego serca, ale panna Dorota puściła wodze swej boleści i oburzenia.

– Zginiesz przez nie, jeśli się nie upamiętasz⁴⁰, nie ożenisz, nie będziesz domu pilnował! Okropność! Zabiją cię!

– Ciocia mnie ma za niepospolitego gamonia! Nie myślę ginąć za byle co! Ale kiedy ciocia mi wymyśla, to zmykam. Sądziłem, że znajdę pochwałę i zachętę, a tu łzy! Fe, ciociu, *c'est mauvais genre*⁴¹!

Wstał i pochylił się nad jej ręką.

– No, zgoda! Proszę się rozchmurzyć. Biję się nie o żadną Samarytankę, jak to ciocia nazywa, ale o to, że Wilhelm Wertheim nazwał mnie Metysem i polskim warchołem! Co, jest racja? Za to go rozplątam jak szczupaka, daję słowo honoru! Niech ciocia spyta kapitana Assenberg, jak się fechtuję! To zabawka dla mnie.

Staruszka otarła łzy i spojrzała mu w oczy.

– Gdy twój ojciec... świeć, Panie, jego duszy... powziął ten szalony projekt, jam go błagała na klęczkach, by zaniechał. Nic nie pomogło. Oczarowali go w Polsce. To kraj w pół dziki. Mają tam gusła, rzucają uroki, dają pić zioła jakieś! Słyszałam o tym od poważnych ludzi. Czarna magia, szatańskie sprawy! Szatan opętał biednego Ralfa! Przeczuwałam nieszczęście! Spełniło się! Ty pokutujesz! Ach, te Polki! Major Koop zawsze mi powtarza: „Wentzlowi nikt nie ufa, boją się sprzeniewierzenia i odstępstwa. Dlatego nie wzywają go na żadną posadę, obserwują go i czekają”. Ach, żebyś się ożenił z córką księcia H., nieufność by znikła!

Ciocia Dora, jak zając po wielu kluczach⁴², wróciła do punktu, skąd wyszła.

– Nie boję się polskich czarów! – odparł hrabia, marszcząc brwi. – Nie pójdę śladem ojca! Co zaś do posad, jeśli mi przyjdzie ochota, nie ja, ale rząd będzie mnie prosił. O to może ciocia być spokojna.

– Więc pojedynek nieodwołalny? – szepnęła.

– Obydwaj nie należymy do tchórzów.

W tej chwili otworzyły się drzwi salonu; zajrzała posępna twarz Urbana.

– Konie podane!

³⁸ *caput* (łac. *caput*: głowa) – tu: koniec. [przypis edytorski]

³⁹ *Torquemada, Tomás* (1420–1498) – dominikanin, w latach 1483–1498 generalny inkwizytor w Hiszpanii, królewski spowiednik; jako najbardziej rozpoznawalny urzędnik świętej inkwizycji, stał się synonimem bezwzględności, z jaką działała ta instytucja kościelna. [przypis edytorski]

⁴⁰ *upamiętać się* – dziś: opamiętać się. [przypis edytorski]

⁴¹ *c'est mauvais genre* (fr.) – to w złym stylu. [przypis edytorski]

⁴² *po wielu kluczach* – tu: po wielu uskokach na boki; po kluczeniu. [przypis edytorski]

– Co, już jedziesz? Ach, Boże, jakże mi straszno! Weź szkaplerzyk na piersi, chłopaku. Będę się dzień cały modliła za ciebie.

– Dziękuję! Nic mi nie będzie. Dziś wieczorem przyjdę do cioci na herbatę. Do widzenia!
Za drzwiami roześmiał się jak szalony.

– Co prawda, wolę pożegnanie z Aurorą; ta mi dopiero da szkaplerzyk!

Zamruczał, potem zbiegł szybko na dół, zatrzymał się, zwrócił się do lokaja i spytał lakonicznie:

– *Nun*⁴³?

Urban się wyprostował jak we froncie.

– Kamienica przechodnia na dwie ulice, stróż spał noc całą, nikogo nie widział. Oto spis lokatorów.

– *Zum Teufel*⁴⁴! Co dalej?

– Baron Schöneich czeka na pana hrabiego.

– Weź szpadę i ruszaj na kolej; bierz bilety na stację Kirschmühl i czekaj na mnie.

– Słucham!

Baron Schöneich, kolega i przyjaciel Wentzla, przybył dość zdziwiony nagłym wezwaniem.

– Pewnie się bijesz? – zawołał na wstępie.

– Jakbyś zgadł.

– O co?

– O moją piętę achillesową *vel*⁴⁵ polską.

– Z kim?

– Z Wilhelmem.

– Głupstwo! Will pewnie był pijany, a ty, wiadomo, szukasz wrażeń. Czemuś mnie ominął na sekundanta? Wiesz, to obraza!

– Ty, poważny dyplomata! Dostałbyś jeszcze nosa od kanclerza. Zresztą, taki pojedynek...

Jakbym z tą szafą wojował! Ech!

Schöneich pokręcił głową.

– Co prawda, tych pojedynków trochę za gęsto. Jesteś strasznie drażliwy, Wentzel. Na twoim miejscu ja bym, dla zatkania gęby natrętom, wszedł do izby⁴⁶ i urządził co dzień ruladę z Polaków. Masz porywającą wymowę.

– Ba, przy śpiewie, winie i kobietach, ale nie w waszym sejmie. Brr! Co tam za nudy!

– Ha, to urządź krucjatę na Poznań.

– Do diabła z conceptami! Powiedz choć raz co rozsądnego.

– Wstąp do służby.

– Na przykład do jakiej?

– Do dyplomacji. Jesteś na to stworzony.

– Skąd ten pewnik? – zaśmiał się Croy-Dülmen.

– Wyznaję, że to nie moje spostrzeżenie, ale Herberta. Wczoraj była mowa o ambasadorach u ministra W. Stary, jak go znasz, facecista⁴⁷. „Poseł – powiada – powinien grać zawsze rolę kochanka. Kto się zna na galanterii i miłości, ten będzie doskonałym ambasadorem”. A na to Herbert: „Poślijcie do Francji Wentzla Croy-Dülmen: nie będzie strachu o Alzację i miliardy! On wam Galię w różę uwieńczoną przyprowadzi do stóp! Dacie mu za to, zamiast pensji i orderu, kotylion⁴⁸ z paryżanek”. Śmiano się z tego cały wieczór.

⁴³ *nun* (niem.) – więc; cóż więc. [przypis edytorski]

⁴⁴ *zum Teufel* (niem.) – do diabła [przypis edytorski]

⁴⁵ *vel* (łac.) – albo. [przypis edytorski]

⁴⁶ *wejść do izby* – tu: zostać posłem w parlamencie. [przypis edytorski]

⁴⁷ *facecista* (daw.) – żartowniś; por. *facecja*. [przypis edytorski]

⁴⁸ *kotylion* – rozetka ze wstążki przypinana do stroju; tu: wianuszek. [przypis edytorski]

- Herbert rad by mnie się pozbyć z Berlina.
- No, sądzę, iż przede wszystkim z jednego pałacu Berlina. Biedaczysko schnie z zawiści. Croy-Dülmen ruszył ramionami.
- On zawsze ma gust na cudze. Póki wolne i nieogłaskane, milczy; gdy kto wyróżni i zdobędzie, wydziera włosy i szaleje. Z taką taktyką niedaleko zajędzie. On mnie ambasadorem, a ja jego zrobiłbym wielkorządcą australijskich kolonii. Niech obdziera ludożerców!
- Spojrzał na zegarek i poruszył się niespokojnie.
- Otóż, Michel, chciałem cię prosić, abyś na wypadek jakiej katastrofy ze mną popalił papiery w tym biurku co do jednego, bo widzisz...
- Widzę, że ci bardzo pilno mnie się pozbyć! *Zum Henker*⁴⁹! Te pamiątki nie zginą, i ty także, bądź spokojny! Cha! Cha! Kręcisz się jak fryga.
- Cóż chcesz, boję się spóźnić na pojedynek.
- Uhm, pojedynek, ale bez sekundantów. No, no, ambasadorze, ruszaj, ruszaj! Przyjdę wieczorem powitać cię jako zwycięzcę. Bywaj zdrow!
- Po chwili sławne na cały Berlin taranty⁵⁰ hrabiego stały u bramy hrabiny Aurory. Ciocia Dorota odprawiała koronkę, a piękna pani mówiła cała wzburzona.
- Wiesz, jeżeli ten błazen cię zadraśnie, to ja mu zrobię coś okropnego... ja, ja...
- Wypowiesz mu swój dom! – podchwycił hrabia.
- Wypowiem! – potwierdziła energicznie, jakby mówiła: poćwiartuję go żywcem. Szyderczy grymas przeszedł twarz Wentzla.
- Za taką ofiarę, mój skarbie, zachowam dla ciebie dozgonną wdzięczność – rzekł z całym przejęciem.
- Dopiero w drodze do Kirschmühl pozwolił sobie w myśli na krytyczną uwagę:
- Ciekawym, co by Lidia zrobiła okropnego Wilhelmowi w razie mego zadraśnięcia. Pewnie pokazałaby mu język. No, no, już to te damy nie bywają rozrzutne w pamięci o pokonanych! Trzeba imponować albo nie istnieć! Imponujmy!
- Nie udało mu się tak, jak sobie tego życzył.
- Obu przeciwników rannych odwieziono do domu. Baron miał przebite ramię i rozcięty szpetnie prawy bok, Wentzel dostał cięcie przez głowę: bił się jeszcze, ale krew mu zalała oczy, a przeciwnik omdlał. Obwołano hrabiego zwycięzcą.
- Nędzny to był triumf. Szpada rozplątała mu głowę i czoło do czaszki. Schöneich zastał go w szponach trzech chirurgów. Klócili się po łacinie.
- Musi być znak – wołał jeden.
- Nie będzie przy zimnych okładach – przeczyli dwaj drudzy.
- Tu pacjent wmieszał się do rozmowy.
- Albo będzie, albo nie będzie. To się zobaczy przy końcu. Tymczasem róbcie początek, panowie.
- Rozsądne zdanie – potwierdził najstarszy medyk, przyjaciel domu hrabiego, zabierając się do roboty.
- Schöneich powitał bohatera uśmiechem.
- Przyszedłem palić owe dokumenty – rzekł wesoło. – Czy ci nie wstyd dać się opiętnować?
- Odbiję się na Assenbergu. Nie nauczył mnie jednego pchnięcia, osioł.
- Przy twym amatorstwie ufam, że się z czasem wykształcisz! Hu! Co to za szczyrba! Będzie miał szramę na całe życie.
- Nie będzie przy użyciu zimnej wody! – poczęli wołać medycy.

⁴⁹ *zum Henker* (niem.) – a niech to; tam do kata. [przypis edytorski]

⁵⁰ *tarant* – nazwa umaszczenia konia; konie tarantowate charakteryzują się kontrastowo ciemnymi (karymi a kasztanowatymi) plamkami występującymi na białej skórze lub odwrotnie: białymi plamkami na ciemnej sierści. [przypis edytorski]

Staremu doktorowi Voss drgnęła ręka z irytacji. Wentzel skrzywił się z bólu.

– Czego się gapisz! – krzyknął na Urbana. – Idź i uspokój panią we frontowym domu.

– Jaką panią? – zagadnął udając naiwnego Schöneich.

Ciocia Dora spędziła dzień we łzach i modlitwie. Gdy karetka wróciła z dworca i zatrzymała się u lewego skrzydła, a do niej nikt nie przychodził, przemogła wstręt, jaki czuła do tej części domu, i zbiegła sama po nowiny. Wszystkie drzwi zastała otworem. Służba była w ruchu. Dotarła niepostrzeżona aż do sypialni. Ujrzała swego chłopaka w pokrzwawionej koszuli, wokoło krwawe szmaty, nad nim trzech rzeźników i Urbana bladego jak ściana. Tylko Schöneich rozparty w fotelu kiwał się tu i tam, gwizdząc – a sam ranny dowcipkował po swojemu.

Staruszka już miała wejść, już podniosła nogę, gdy ją przykuł do podłogi żartobliwy głos barona.

– Doktorze, zacerujcie gładko, żeby piękne usta nie obraziły się na szramach.

Ciocia Dora zatuliła uszy dłońmi i uciekła z tego piekła. W takiej chwili – taka mowa! O, czasy! O, młodzieży!

W chwilę potem Urban ją uspokoił ze strony hrabiego, ale ona nie zdecydowała się na powtórne odwiedziny. Miała dosyć próby.

Stary doktor postawił na swoim. Szrama została pomimo zimnej wody i innych sposobów; rozcinała czoło wyraźną poprzeczną bruzdą.

Honor swój niemiecki opłacił Wentzel, a może piękne oczy nieznanemu dziewczyny odjęły mu zrzeczność i siłę.

Miał pamiątkę po owej burzliwej nocy. Kłął ją w duchu, gdy wreszcie wygojony stroił się pewnego wieczora do teatru.

Doktor Voss zjawił się właśnie na zły humor, a nie wiedząc o tym, począł burczeć na wybryki. W rezultacie pokłócili się okropnie: medyk z całą flegmą, Wentzel z ogniem wcale nie germańskim.

Voss potarł swą górną wargę, co robił zawsze, gdy miał wygłosić ważne zdanie, i rzekł:

– Pan hrabia jest niecierpliwy, nierozsądny, i nielogiczny... Typowy Słowianin.

Tego było za wiele. Croy-Dülmen skoczył, jakby skorpion nadeptał.

– *Kreutzdonnerwetter*⁵¹! – zaklął jak dragon. – Jak mi pan jeszcze piśniesz słowo...

– To co? – powiedział spokojnie medyk. – Ja się bić nie umiem, a spostrzeżenie fizjologiczne nie jest przecież obrazą. Pan hrabia rodzi się z Polki, to pewnik; że ród matki wpływa bardzo silnie na dzieci, to drugi pewnik; a że pan bardzo do matki podobny, to trzeci! *Dixi*⁵².

– A ja *dixi*, że wasze fizjologie to brednie, a wy sami stado wariatów! Jestem Niemiec i basta!

– Po ojcu prawdopodobnie!

– Jak to prawdopodobnie? – krzyknął młody człowiek, czerwieniejąc z pasji. – Śmiesz o mojej matce mówić podobny frazes!

– Mówię: prawdopodobnie, bo pani hrabina była Polką, a tamte kobiety są do prawdy podobne. Nasze damy – to co innego. Żeby na przykład hrabina Carolath miała syna, powiedziałbym...

– Daj mi spokój z hrabiną Carolath! Nie ciekawym tego, co powiesz! – przerwał niecierpliwie hrabia. – Idę do teatru. Zeszpeciłeś mnie na wieki, a teraz prawisz brednie, które ci tylko dlatego darowuję, żeś stary! Niech piekło pochłonie chirurgię! Z wami razem, naturalnie! Urban, konie!

W teatrze piękny panicz w krzesłach i piękna pani w łoży zamienili krótkie, ale wymowne spojrzenia. Nie było na nic więcej czasu; ale koledzy wzięli w swój środek Wentzla; układano kolację z aktorkami.

Dopiero w antrakcie hrabina Aurora zwróciła swój śliczny profil do drzwi łoży i powitała wchodzącego uśmiechem syreny.

Tysiące oczu patrzyło na nich, więc on się uklonił głęboko i usiadł naprzeciw niej.

⁵¹ *Kreutzdonnerwetter* (niem.) – do stu piorunów; a niech mnie kule biją. [przypis edytorski]

⁵² *dixi* (łac.) – rzekłem. [przypis edytorski]

– Wyglądamy tak niewinnie jak stary radca z sędziwą ochmistrzynią dworu – zrobił półgłosem uwagę Wentzel.

– *Mauvais sujet*⁵³! – upomniała go za koncept. – Czy wiesz, że ci ładnie z tą blizną, *heros balafre*⁵⁴. Ale bić się nie było o co, doprawdy! Wiesz, ja bardzo lubię Polaków.

– Jakbyś знаła choć jednego.

– No, chociażby ty, przez pół.

Rzucił się niecierpliwie.

– Znowu! Ja się dziś wścieknę chyba! Ja nie jestem, nie będę, nie chcę być Polakiem! Co się ludziom dzieje! Sprzysięgli się mnie torturować!

– A to się nie broń, jeśli chcesz, żeby ci dali pokój! *Le grand malheur*⁵⁵! Pogadają i ucichną. A jak będziesz się afiszował niemczyzną, to ci na złość będą dowodzili, żeś Polak z krwi i kości.

Pierwszy raz i zapewne jedyny zrobiła hrabina Aurora tak trafną uwagę, ale to nie rozmarszczyło czoła młodego człowieka.

Nie znalazł dla niej uśmiechu, gryzł niecierpliwie wąsy i kręcił brodę.

Trąciła go nieznacznie pantofelkiem.

– Powiem ci coś niemiłego, jeśli mnie nie będziesz bawił. Patrz, ty specjalisto od ładnych twarzączek, kto to nowy w łoży naprzeciw? Co za pyszne opale! Mówią, że to kamienie, *qui portent malheur*⁵⁶! Znasz tę damę?

Hrabia machinalnie podniósł oczy, spojrzął we wskazanym kierunku i aż się cofnął z podziwu. Dama w opalach nie był to nikt inny, tylko jego nieznajoma.

Ruch nie uszedł oka hrabiny.

– Ach, *comme tu prends feu*⁵⁷! – rzekła z dąsem.

– Nie wiedziałaś o tym? – spytał z lekką ironią.

– *Monstre*⁵⁸! – trąciła go znowu pantofelkiem. – Znasz tę damę?... Skąd ona?

– Z San Marino.

– Gdzie to jest? Na prowincji? We Włoszech?

– A gdzieś tam blisko! Nie pamiętam.

Opędzał się od pytań, a oczu nie spuszczał z łoży naprzeciw.

Nieznajoma nie była sama. Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn; jeden stary, siwy – drugi młody, blondynek, z jeżowatą czupryną i swawolą w oczach. Rozmawiali z sobą poufale i, o dziwo, obywatelka spartańskiej republiki uśmiechała się lekko niekiedy, a chłopcu iskrzyły się do niej źrenice i co chwila błyskały białe zęby w serdecznej, ochoczej wesołości.

Wentzel Croy-Dülmen wciąż patrzył, znosząc obojętnie impertynencje obrażonej hrabiny. Tupiała nóżkami z wściekłości.

– *Tu es d'une grossièreté horrible*⁵⁹! Idź, przynieś mi cukierków! Nie połykaj jej oczami. Nie puszczę cię! Nie masz prawa tam iść, rozumiesz? Nie pozwalam! Tam nie ma miejsca dla ciebie. Ten blondynek...

– Auroro! – szepnął z wyrzutem.

– Gdzieś ją poznał? Mów! Że też tobie żadna nie ujdzie! Ach, wpakowałabym cię z przyjemnością na statek admirański z zakazem odwiedzania portów! Co to za jedna?

– Obywatelka rzeczypospolitej San Marino.

⁵³ *mauvais sujet* (fr.) – nic dobrego; urwis. [przypis edytorski]

⁵⁴ *heros balafre* (fr.) – bohater z blizną. [przypis edytorski]

⁵⁵ *le grand malheur* (fr.) – wielkie nieszczęście. [przypis edytorski]

⁵⁶ *qui portent malheur* (fr.) – które przynoszą nieszczęście. [przypis edytorski]

⁵⁷ *comme tu prends feu* (fr.) – jak ty się zapalasz. [przypis edytorski]

⁵⁸ *monstre* (fr.) – potwór. [przypis edytorski]

⁵⁹ *tu es d'une grossièreté horrible* (fr.) – okropny z ciebie grubianin. [przypis edytorski]

– *Tu es stupide*⁶⁰... z tą twoją rzeczpospolitą!
– Cóż robić! Nie mogę cię lepiej objaśnić, bo sam więcej nie wiem!
– A ja ci mówię, że to nie żadne San Marino. To jest niezawodnie ktoś z Polski. *Ces Slaves ont leur type à part*⁶¹. Wiesz, że ona nawet do ciebie podobna.

Nareszcie znalazła hrabina sposób na swego kochanka.

Spojrzał na nią piorunującym wzrokiem, wziął kapelusz, ukłonił się i wyszedł. Była pewna, że już nie spojrzy na lożę.

Po chwili ujrzała go w krzesłach. Istotnie, nie patrzył ani na prawo, ani na lewo, ale na scenę. Zdawał się zajęty jedynie sztuką. W drugim antrakcie przysłał jej stopy cukrów, sam poszedł na cygaro z kolegami. Nie wspomniał o damie w opalch, ale inni już ją spostrzegli.

– Alzatka! – zdecydował Herbert.

– Mniejsza skąd, ale piękna. Co za szyk królewski!

Wertheima nie było. Leczył się jeszcze. Więc Wentzel ze swą znajomością się nie pochwalił. Co prawda, nie było tak bardzo czym.

Przypuszczenie Herberta uderzyło go.

– Byłeś w Alzacji? – zagadnął.

– Dwa miesiące, z komisją rewizyjną.

– Uhm, rewidowałeś! – wtrącił po swojemu półgębkiem Michel von Schöneich.

W głowie Wentzla tworzył się awanturniczy projekt. Odszukać ją, poznać się i rzucić w oczy kolegów Cezarowym: *veni, vidi, vici!*⁶²! Znad Renu do Alzacji był krok jeden, a reszta fraszki!

– Za pół roku ona będzie moja! – rzekł lekceważąco.

Herbert natychmiast nadstawił uszu. Chwytał w lot każdą inicjatywę.

– Albo moja! – zawołał.

– Nie! – poprawił Wentzel. – Moja albo niczyja!

– *Pari*⁶³?

– Zgoda! O co?

– O twego „Scherza”!

– I o twego „Fingala”!

– A ja trzymam, że obydwaj zjecie po mydełku – ozwał się Schöneich. – Stawiam swoją czwórkę, zabiorę waszego „Scherza” i Osjanowego bohatera⁶⁴; każę jutro zacząć rozszerzać stajnię.

– Skąd ta pewność, Michel?

– Popatrzcie jej w oczy, to się dowiecie! No, idę do hrabiny Aurory z wizytą. Będę pocieszał.

– Albo jej trzeba pociechy? – zagadnął łakomie Herbert, jak zawsze gotów korzystać z cudzego projektu.

– I bardzo. Wielka burza opadła fregatę admiralską koło Ziemi Ognistej.

– To i ja pójdę z tobą!

Po skończonej sztuce Wentzel z Herbertem spotkali się na chodniku przed teatrem.

– Widziałeś dokąd pojechała? – zagadnął Croy-Dülmen.

– Wiesz, nie; byłem zajęty. Nie uważałem.

⁶⁰ *tu es stupide* (fr.) – jesteś głupi. [przypis edytorski]

⁶¹ *ces Slaves ont leur type à part* (fr.) – ci Słowianie mają swój odrębny typ (tj. są rozpoznawalni). [przypis edytorski]

⁶² *veni, vidi, vici* (łac.) – przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem; tymi słowami miał Gajusz Juliusz Cezar zawiadomić o swoim zwycięstwie nad Farnakesem II, królem Pontu, po bitwie pod Zelą w 47 r. p.n.e.; lakoniczna fraza przekazuje informację zarówno o wyniku wyprawy, jak również o łatwości i szybkości pomyślnego wykonania zadania. [przypis edytorski]

⁶³ *pari* (fr.) – zakład. [przypis edytorski]

⁶⁴ *Osjanowy bohater* – Fingal, jeden z bohaterów występujących w tzw. *Pieśniach Osjana*, wydanych w 1760 r. przez Jamesa Macphersona jako tłumaczenie z języka gaelickiego utworów celtyckiego barda imieniem Osjan; mimo że szybko (w 1805 r.) starożytny epos okazał się falsyfikatem, a rzekomy tłumacz autorem, tekst zyskał ogromną popularność w dobie romantyzmu i był tłumaczony na liczne języki w całej Europie; najpopularniejsze tłumaczenie fr. Pierre'a Le Tourneura z 1777 r. nosiło tytuł *Osian, fils de Fingal, barde du troisième siècle: Poésies gauliques (Osjan, syn Fingala, bard z trzeciego wieku: Poezje gaelickie)*. [przypis edytorski]

Obydwaj okłamywali się bezczelnie. Śledzili piękną nieznajomą, ale im uszła w tłumie i znikła. Była to dla Herberta pierwsza, dla naszego bohatera druga porażka. Nie zwątpił jednak o sobie, ruszając z dobrą miną do restauracji.

Bankiet przeciągnął się do rana.

III

Ciotka Dora von Eschenbach po raz pierwszy w życiu zgodziła się ze zdaniem siostrzeńca.

Było to nazajutrz. Hrabia zjawił się o południu, zhułany, blady, ziewający pomimo wiosennego słońca. Wyglądał jak uosobienie swawoli i nadużycia.

– Co ciocia zamierza robić latem? – spytał. – Bo przecież na bruku tutaj siedzieć nie podobna⁶⁵.

Kto żyje, wyjeżdża.

– Wybieram się w odwiedziny do majora.

– Czemuż nie do Dülmen? Po cóż egzystuje to zamczysko? Wydaję rokrocznie parę tysięcy marek na reparację. Niechby ciocia obejrzała z bliska gospodarstwo pana rządcy.

– A ty się tam nie wybierasz?

– Ja, ciociu, mam na to lato wyżej głowy zobowiązań, ale dla cioci poświęciłbym chętnie wiosenne wyścigi. Mogę towarzyszyć do Dülmen.

– Mój nieoszacowany, kochany chłopaku! Za tę przyjemność, zrobioną starej, spotka cię wielkie szczęście. Zobaczysz!

„Bodajem tylko⁶⁶ zobaczył! – pomyślał hrabia, nie przeczuwając, że w głowie ciotki owo szczęście miało już określony wiek, postać, imię i nazwisko, co wszystko razem składało nadobną Emilię Koop, jedyną córkę majora”.

Od dawna upatrzyła ją sobie ciocia Dora na anioła stróża dla swojego jawnochrześnika; projekt był gotów, opracowany w najdrobniejszych szczegółach; brakowało jednej małej rzeczy – zgody Wentzla, ale ciocia Dora wierzyła w cuda. Każda rzecz wydawała jej się możliwa.

A ofiara szła nieopatrnie na zastawioną wędkę.

Po tygodniu pałac Pod Lipami opustoszał. Konie odprawiono do dóbr, służba w części pojechała nad Ren, pozostali włączyli się po bawariach⁶⁷, firanki były spuszczone, szwajcar drzemał w swej łoży.

Za to Dülmen zawrzało ruchem. Na baszcie, co spoglądała w sine wody Renu, wiatr rozwiewał herbową chorągiew, po dziedzińcach rżały konie, skomliły ogary, biegali tu i tam masztalerze i lokaje. Rządca zaprzestał wieczorów w miasteczku przy piwie, nie chodził podśpiewując z fajką w zębach i nosem zadartym. Zmalał, skurczył się, schudł; z oczu pana zgadywał myśli.

Do kaplicy ciocia Dora sprowadziła kapelana i śpieszyła, ile mocy, z wykończeniem swej złotej stuły na ślub wychowańca.

Intryga szła jak po maśle. Wentzel sumiennie odwiedzał opiekuna, major urządził na jego cześć polowania i pikniki; wesołe życie stolicy i ogólne uwielbienie szło w ślad pięknego panicza. Wiejskie piękności nie umiały ukryć swego zachwytu; panowie okrzyknęli go pierwszym dżentelmenem i wzorowym kolegą.

Gdzie się pokazał, zwracał wszystkie oczy. W walcu czy na koniu, przy bankiecie czy na łowach – był niezrównany.

Do doskonałości brakło mu, wedle majora i ciotki, tylko żony.

Po dwóch tygodniach wiejskich wakacji panna Dorota von Eschenbach uznała, że wpływ przyrody i wiosny musiał dostatecznie podziałać na umysł hrabiego; wyobrażała go sobie sielankowo rozmarzonym – i pewnego wieczora zaprosiła się z robótką na gawędę do mieszkania młodego człowieka.

⁶⁵ *nie podobna* – nie sposób, nie można. [przypis edytorski]

⁶⁶ *bodajem tylko* – żebym tylko. [przypis edytorski]

⁶⁷ *bawaria* – tu: piwiarnia. [przypis edytorski]

Wieczór był istotnie romantyczny. U stóp zamczyska Ren szumiał, przez otwarte okna wdzierał się pachnący powiew wiatru i zaglądał sierp nowiu. Wentzel leżał na kanapie, palił cygaro i gwizdał *Lorelei*; o kim myślał przy owym śpiewie, można się domyślić.

Panna Dora odchrząknawszy zagaiła rozmowę:

– Czy nie myślisz posłać jutro bukietu Mili Koop? Są przecież cudne azalie.

Hrabia się ocknął jak ze snu.

– Bukiet majorównie? Czy ona się jutro potwierdza? – zapytał.

– Ale co ty gadasz! Wszakże to dorosła panienka!

– Przerosła! – mruknął.

– Jak to? Sam kwiat!

– Nie uważałem. One tu wszystkie dziwnie do siebie podobne. Różowe, białe...

– To ładnie!

– Uhm! Czy ciocia stuły jeszcze nie skończyła?

– Będzie na czas, chłopaku, będzie! – zaśmiała się kiwając głową.

– To mnie najwięcej obchodzi. Ale nie rozumiem ochoty ślęczenia nad podobnym głupstwem.

Czemu ciocia lepiej nie strzela do celu?

– Fi! – strzepnęła rękami staruszka. – Więc bukietu nie zanieziesz Mili?

– A to po co?

– No, przecież major twój opiekun!

– A, no to jemu się należy bukiet.

– Rodzicom najlepiej odsłużymy się w dzieciach. Przez pamięć na staranie majora warto zająć się córką. Ty tak umiesz być miłym, gdy chcesz.

Ciocia Dora osładzała pigułkę tysiącem pieszczotliwych uśmiechów i spojrzeń.

– Co ciocię tak zajmuje major i jego familia?

– Mój Wentzel, to są ludzie rzadkich przymiotów. Mila jest wzorową córką, gospodynią, wykształconą, ładną, czułą...

– O, i bardzo! – wtrącił hrabia.

– W jej ręce może każdy złożyć z ufnością honor domu. Potrafi stworzyć ognisko, zająć się porządkiem, nie zhańbi nazwiska, a mężowi da szczęście, spokój, dzieci uczyni dobrymi chrześcijanami i patriotami...

– Ciociu, proszę tchu nabrać! Ta tyrada grozi zapaleniem płuc. Wierzę ślepo w doskonałości panny Koop, obowiązuję się przez wdzięczność dla majora wystawić jej pomnik na rynku w Dülmen i wypisać to wszystko na marmurowej płycie.

– Możesz zrobić coś lepszego, co uszczęśliwi ją, ciebie, mnie i majora: ożeń się z nią!

– Tylko tyle! Odrobina! – zaśmiał się szydlerczo.

– Pewnie, że to nic wielkiego. Major przyjmie cię z otwartymi ramionami⁶⁸, a Mila...

– Panna także ramion nie odmówi.

– Mila cię pokocha.

– O tym nie wątpię!

– Więc cóż, zgoda? – spytała ciocia Dora, wstając na wpół.

Hrabia się przeciagnał, ulokował wygodniej na kanapie i ziewnął nieznacznie.

– Proszę mi powiedzieć, ciociu, skąd ten gust do swatania? Ojciec mój nie był szczęśliwy w małżeństwie.

– Źle wybrał, źle wybrał! Nie słuchał mnie! – wołała żywo.

– Ciocia sama nigdy nie była zamężna...

– Ach, co tam mnie wspominać!

– Bo ciocia jest dla mnie ideałem. Ożenię się z ciocią albo z nikim. To moje ostatnie słowo!

⁶⁸ z otwartymi ramionami – dziś popr. forma N.lm: (...) ramionami. [przypis edytorski]

Na to niespodziewane zakończenie staruszka podskoczyła w fotelu, poczerwieniała i zbladła, upuściła z rąk robotę.

– Wentzel! – zawołała zgorszona.

– Tak jest, ciociu! *Tod oder Turandot*⁶⁹! Bezkarne się nie obcuje z ideałem. Przysięgałem sobie ciocię zbałamucić: to mój cel i marzenie.

Panna Dora poczęła dygotać jak w febrze. Trzęsły się jej siwe loki i bezzębne usta, i ręce obciążone⁷⁰.

– Fi, fi, fi! – zawołała zdyszana. – Oto za moje starania i poświęcenia! Wstydz się, takie słowa do mnie... Żaden mężczyzna nie śmia! Fe, obraza boska! Jesteś doprawdy zuchwalec, lekkomyślny młodzik! Umywam ręce. Bóg świadkiem, chciałam cię ratować, zatrzymać na drodze do zatracenia. Pozwalasz sobie na nieprzystojne rozmowy... fi, szkaradne! I ty mówisz o marzeniu! Kłamstwo! Ty nie wiesz, co to marzenie!

Podczas tego wybuchu panna Dorota cofała się do drzwi. Przy ostatnich słowach znikła za portierą, żegnając zuchwalca ruchem pełnym wzdargy. Pozostał sam.

Pusty śmiech, który hamował całą siłą, rozrywał mu piersi. Wychylił się za okno i puścił wodze wesołości.

– A to mi się udało! Ciocia wyperswaduje sobie matrymonialne zaczepki. Cha, cha, cha! Przebiła się własnym ostrzem! Przysięgnę, że uwierzyła w połowie i będzie mnie unikała jak złego ducha. Drzwi zatarasuje! Co za oburzenie niebotyczne! A ten gest ostatni: „Ty nie wiesz, co to marzenie!”. Spojrzysz, już ją masz! Kto mnie miał czułości i sentymentalizmu nauczyć?

Rozejrzał się po niebie i ziemi. Błyszczące w księżycu fale rzeki wzbudziły obraz jasnowłosej czarodziejki.

– Pięknie by mnie Aurora przyjęła, gdybym jej marzenie zaproponował; albo Lidia czy baronowa Liza! Miałbym się z pyszna! Cha, cha! No, spaliłem mosty za sobą. Nie pokazywać mi się przed oczy cioci! Cóż robić teraz?

Znowu spojrzął w nocny krajobraz i półgłosem nucić począł:

*Zum Rhein, zum Rhein, zum deutschen Rhein,
Wer will des Stromes Hüter sein!
Lieb Vaterland, magst ruhig sein,
Fest steht und treu die Wacht am Rhein*⁷¹!

– Istotnie, siedzę tu jak sztyldwach w tym zamczysku! Do diabła patriotyzm! Zostawię posterunek cioci w wierne ręce! A żeby też spróbować szczęścia na tamtym brzegu. Hm... piękna nieznajoma, kto wie, czy nie sprzeniewierzy się swej nienawiści. Byle ją odszukać. Urban!

*Factotum*⁷² wyrosło⁷³ jak spod ziemi.

– Pakować! Jutro jedziemy do Kolonii.

Wentzla czyn od myśli był bardzo niedaleko.

⁶⁹ *Tod oder Turandot* (niem.) – śmierć albo Turandot; nawiązanie do imienia tytułowej bohaterki sztuki Carla Gozziego *Turandot* opowiadająca o okrutnej księżniczce chińskiej, która swoim kandydatom na męża zadawała niczym Sfinks trudne zagadki, a tych, którzy nie odgadli czekała śmierć; na podstawie dramatu powstała opera wł. kompozytora Giacomo Pucciniego (1858–1924), dokończona (przez Franco Alfano) i wystawiona dopiero po jego śmierci, w 1926 r. [przypis edytorski]

⁷⁰ *ręce obciążone* – tu zapewne: wyprostowane, wyciągnięte wzdłuż ciała. [przypis edytorski]

⁷¹ *Zum Rhein (...) die Wacht am Rhein* – słowa niem. pieśni patriotycznej *Die Wacht am Rhein* (*Straż na Renie*) autorstwa Maximiliana Schneckenburgera (1819–1849), która wykonywana do muzyki Karla Wilhelma zyskała ogromną popularność, szczególnie podczas wojny prusko-francuskiej; odczytywano ją wtedy (i wielokrotnie później w historii) jako przeciwstawienie się francuskim pretensjom do Alzacji i Lotaryngii oraz uznawaniu Renu za naturalną granicę Francji. [przypis edytorski]

⁷² *factotum* (łac.) – totumfacki; osoba zaufana, spełniająca usługi wszelkiego rodzaju. [przypis edytorski]

⁷³ *factotum wyrosło* – w odniesieniu do zaczerpniętego z łaciny rzeczownika rodzaju nijakiego *factotum* (totumfacki) autorka konsekwentnie stosuje czasowniki również w formie nijakiej. [przypis edytorski]

Nazajutrz ciocia Dora otrzymała przez lokaja wonny opoponaksem⁷⁴ bilecik hrabiego:

„Ze skrwawionym sercem i rozdartą duszą odjeżdżam! Tak srogiemu wyroku znieść nie jestem w stanie. Słowa cioci były płomieniem, co mi duszę oczyścił. Będę się uczył marzyć, działać i pokutować. Jeżeli nie wrócę więcej, to proszę mnie w swych modłach nie omijać. Odjeżdżam złamany, z rozpaczą w sercu.

Biedny Wentzel”.

– Co to jest? – wrzasnęła staruszka. – Gdzie hrabia?

– Wyjechał dziś rano – oznajmił sługa.

– W którą stronę?

– Na stację kolei. Konie już wróciły.

– *Oh, Herr Jesu!* Okropność! Gdzie Urban?...

– I Urbana nie ma.

– Niech Fryc siodła! Pojedzie do majora. Dam mu list.

Goniec poleciał cwałem. Pod wieczór major się zjawił, cały wzburzony.

– *Alle Wetter*⁷⁵! – klął na wstępie. – Cóż to znowu przystąpiło do tego junkra!

– Ach, majorze, straszny cios nas dotknął...

– Do rzeczy, do rzeczy! Krótko i węzłowato! Pani pewnie coś zmalowała nie w porę?

– Ale gdzież tam! – panna Dorota załamała ręce. – Przemówiłam do jego rozsądku i serca o naszej Emilci.

– No, a on co na to? Uciekł, *der Schurke*⁷⁶.

– Uciekł dzisiaj, a wczoraj... a wczoraj...

– Cóż wczoraj?

– Wczoraj oświadczył się o mnie!

– *Potztausend*⁷⁷! Zwariował! – huknął major, wytrzeszczając oczy.

– Zwariował – potwierdziła cicho jak tchnienie skonfundowana panna Dorota.

– A to nam się udało! Gdzież pojechał?

– Nie wiem! Straciłam głowę!

– W to wierzę, *schwere Not*⁷⁸! A to kawał wisielca! Zostawił list może? Cóż tam stoi?

– Przeprasza, obiecuje poprawę i zmianę. Prosi o modły.

– Tfu! Może obiecuje do klasztoru wstąpić? Będzie się biczował w Biarritz przy hrabinie Aurorze! *Halunke*⁷⁹!

– Majorze! Co za mowa nieprzystojna! Kto wie, kiedy dobre natchnienie ogarnie człowieka?

– Co mi pani bredzi! Wentzel urodził się na wisielca i będzie wisiał. Natchnienie... to mi się podoba. No, teraz go straciliśmy na wieki! Taki piękny projekt diabli wzięli. Mila się rozkochała, majątki graniczą, królewska fortuna! Czy ten błazen się kiedy nad czym zastanowi, porachuje, pomyśli sekundę porządnie! Wiatr i koniec. Traci zdrowie, młodość, fundusz! Kpi ze starych! Hej tam, lokaje! Posłać kogo na stację, niech spyta, dokąd hrabia brał bilet!...

Po godzinie masztalerz wrócił. Hrabia wziął bilet do Francji.

– A co! Oto i natchnienie! Poleciał hulać do Paryża – huczał w pasji bas majora.

– Dlaczego zawsze złe posądzenia? – przeczył dyszkancik cioci Dory.

– Bo są fakty.

– Może się zmienić.

⁷⁴ *opoponaks* – słodka mirra; wonna żywica używana do wyrobu perfum, kadzideł itp. [przypis edytorski]

⁷⁵ *alle Wetter* (niem.) – przekleństwo: do stu piorunów. [przypis edytorski]

⁷⁶ *der Schurke* (niem.) – łotr, łajdak, szuja. [przypis edytorski]

⁷⁷ *potztausend* (niem. przekręcone *Gotts tausend Sakrament*) – przekleństwo: do stu diabłów itp. [przypis redakcyjny]

⁷⁸ *schwere Not* (niem.) – ciężka bieda; wielki kłopot. [przypis edytorski]

⁷⁹ *Halunke* (niem.) – łajdak, łotr. [przypis edytorski]

W rezultacie rozjechali się w gniewie i zerwali stosunki.

Panna Dorota odczytywała co dzień list grzesznika i pracowała fantazją. Po miesiącu wypisała sobie klerykalną francuską gazetę i szukała pilnie, czy gdzie nie znajdzie wiadomości o kartuzach⁸⁰ i nazwiska Wentzla w nowicjacie.

Z tego wynika, że wyobraźnia cioci Dory pracowała i za rozum, i za logikę, i za zdrowy sens. Umiała robić sto mil na godzinę. Ale o pięknym paniczu zagięły wieści.

⁸⁰ *kartuzowie* – zakon kontemplacyjny o surowej regule, zał. w XI w. we Francji. [przypis edytorski]

IV

W jednym z najszykowniejszych klubów berlińskich zebrało się pewnego wieczora na obiad grono wesołej młodzieży.

Była to jesień. Panicze zbierali się zaledwie – jeden z dóbr, drugi z wyścigów w Baden, trzeci z morskich kąpiei, inny z ferii parlamentu. Więc i rozmowa skakała z przedmiotu na przedmiot: wyścigowce, psy, ostatnia komedia, modna śpiewka, anegdota zakulisowa, scenka miłosna z podróży, *trente et quarante*⁸¹, głośna sprawa kryminalna. Każdy dorzucił słowo, dwuznacznik, żart; kielichy krążyły gęsto, po deserze zapalono cygara i papierosy. Michel von Schöneich, rozparty w rogu stołu, kręcąc wąsiki i uśmiechając się z dyskretną ironią, studiował kolegów przez szkła swych impertynenckich binokli. Przy uczie grał zawsze rolę tureckiego pieprzu. Nazywano go nawet „Papryką”. Tego dnia był wyjątkowo lakoniczny – co zwróciło uwagę Herberta, który koncepty młodego dyplomaty zbierał starannie i nazajutrz produkował za własne.

Schöneich wiedział o tym i każdy swój żart zaczynał od słowa: „Herbert mówił...”, zwiększając jeszcze owym wstępem wesołość towarzystwa.

Herbert siedział naprzeciw, a obok niego średnich lat mężczyzna w marynarskim mundurze.

Był to szczęśliwy małżonek hrabiny Aurory Carolath, przybyły na krótki urlop z archipelagu Ladronów.

Małżeńska wizyta udała się niefortunnie. Żona dotąd bawiła w Biarritz: admiralski list i codzienne depesze nie robiły na niej żadnego wrażenia. Nie raczyła nawet odpisać.

Owych dwóch naprzeciw siebie oglądał Schöneich z miną amatora inwentarza. Nosili niezawodnie w jego myśli zoologiczne określenie.

– Czy ci braknie konceptu, Michel? – zagadnął ktoś z boku.

– Słucham, czy nie posłyszę wieści o Wentzlu. Przecie go ktoś z was musiał spotkać.

– Nie było go w Baden. Konie jego wzięły tam trzy nagrody.

– Zapraszałem go na polowanie... Żadnej odpowiedzi.

– Nie spotkałem go w Ostendzie.

Podniósł się chór głosów.

– Szczególnie! Poleciał chyba na księżyc, bo i w domu panna Dorota go oplakuje.

– Jesteśmy obydwaj poszkodowani, panie baronie – wtrącił markotnie admirał. – Pan szuka przyjaciela, a ja się nie mogę żony doczekać...

„Uhm... te obie zguby pewnie się znalazły” – pomyślał Schöneich.

– To jednak osobliwość! – zawołał Herbert. – Przez cztery miesiące Wentzel nie zrobił głośniejszej awantury. Ani jednego pojedynku.

– Nikt go nie zaczął z polskiej strony jak ja! – zaśmiał się Wilhelm Wertheim.

– Może się ożenił i święci miodowy miesiąc.

– To ostatnie nadzwyczaj prawdopodobne! – potwierdził szydlerczo Schöneich.

Wszyscy wybuchnęli homerycznym śmiechem⁸².

– Może umarł?

– Pewnie pojechał do Konstantynopola!

– A może go pan, hrabio, spotkał na Ladronach?

Robiono coraz dziwniejsze przypuszczenia.

– A ja wiem, co się z nim stało! – ozwał się Herbert wydymając się jak paw.

⁸¹ *trente et quarante* (fr.) – dosł. trzydzieści i czterdzieści; nazwa hazardowej gry w karty (inaczej *Rouge et Noir*, tj. czerwone i czarne) spopularyzowanej w XVII w. we Francji. [przypis edytorski]

⁸² *homeryczny śmiech* – niepohamowany, głośny, szczery, serdeczny śmiech; Homer w *Iliadzie* wspomina o „nieugaszonym śmiechu” bogów. [przypis edytorski]

- No, no, że też ty coś wiesz nowego! – szydził Schöneich.
- Przegrał zakład ze mną. Wstydzi się pokazać i żałuje „Scherza”.
- Jaki zakład?

– O piękną damę, kiedyś w teatrze.

– Aha, na wiosnę... Ta w opalach! Wiemy, wiemy. Znalazłeś ją? Słuchamy!

Herbert uśmiechnął się triumfująco. Wypił kieliszek wina, rozparł się jak basza i odchrząknął do narracji. Schöneich odchrząknął także.

– Było to w Ems...

W tej chwili za drzwiami rozległo się szastanie lokajów i głos rozkazujący.

– To dobrze. Otwieraj!

Herbert zamilkł. Na progu stał Wentzel Croy-Dülmen we własnej osobie.

– *Prosit*⁸³ – *Mahlzeit*⁸⁴! – powitał wesoło.

– Aaaa! – rozległo się na wszystkie tony.

Porwano się gromadnie z powitaniem. Dobry kwadrans krzyżowały się wykrzykniki, pytania, śmiechy, koncepty; potem usadowiono ulubieńca na honorowym miejscu i zaczął się formalny szturm ciekawości.

Schöneich rzucił binokle, oparł łokcie na stole, oglądał przyjaciela od stóp do głowy; sam nie badał, ale słuchał, obserwował, kiedy Wentzel kłamał czy prawdę mówił. Podrzucał co chwila nieznacznie jakiś dowcip.

Admirał pierwszy przyszedł do słowa.

– Czy nie spotkał pan przypadkiem mojej żony? – zagadnął naiwnie.

– I owszem. Miałem przyjemność podróżowania jednym pociągiem – odparł spokojnie.

– Czyż tylko jednym pociągiem? – zamruczał Schöneich.

– Jak to! Kiedyż pan wrócił?

– Przed godziną. Ledwie się przebrał i rozmówił ze Sperlingiem, i oto jestem.

– Więc Aurora już jest?

– Jest i czeka na pana niecierpliwie.

– Uhm, niezawodnie! – burczał gdzieś w pobliżu niemiłosierny dowcipniś.

Admirał rzucił cygaro na obrus, zapomniał rękawiczek, nie wziął reszty z pieniędzy i wyleciał, ubierając się na schodach.

Za nim pogonił grad dowcipów.

– Pośpiech wart szczęśliwych rezultatów. Fregata zawija do portu w archipelagu Wysp Złodziejskich, po hiszpańsku Ladróny! – objaśniał serio baron.

Wentzel z miną niewiniątka spożywał obiad. Opadnięto go znowu na wyścigi.

– Coś porabiał tyle czasu? Można było podbić Europę!

– Objechać kraj cały! Napisać strategiczne dzieło!

– Posądzają, żeś się ożenił, żeś się sturczył, żeś umarł nawet!

– Lidia lada dzień...

– Co lada dzień? – przerwał niespokojnie.

– Lada dzień wypowie ci służbę. Urlop jej się sprzykrzył! – krzyczał Herbert.

– Czemuś nie przyjechał na polowanie?

– Znalazłem dziś zaproszenie na biurku.

– Gdzież cię szatan nosił?

Wentzel zaspokoił głód i pragnienie – zabrał głos.

– Byłem, koledzy, w srogich opalach. O mało mnie nie ożeniono.

– A to gdzie?

⁸³ *prosit* (niem.) – na zdrowie (forma toastu). [przypis edytorski]

⁸⁴ *Mahlzeit* (niem.) – pora posiłku. [przypis edytorski]

- Nad Renem.
- Pewno z Emilią Koop! – zawołał Schöneich.
- Naturalnie. Czy ciebie ciotka wtajemniczyła?
- Jakżeś się obronił?
- Uciekłem i schowałem się we Francji.
- Aha, żeglowałeś po admiralskim morzu!
- Broń Boże! Studiowałem naszych sąsiadów.
- Kierujesz się na ambasadora, wedle mojej rady. Winszuję.
- Nie, mam zamiar wydać dzieło statystyczne!
- O pięknych damach! No, no, te sąsiedzkie studia musiały cię słono kosztować.
- Ani grosza. Jeździłem od miasta do miasta, od domu do domu prywatnymi ekwipażami.
- W roli sąsiada?
- W roli stroiciela fortepianów. Czegóż się śmiejecie? *Mein Wort*⁸⁵! Miałem kamerton i klucz.
- Cha, cha, cha! A toś im urządził instrumenty! Pyszny koncept! – śmiał się Herbert.
- Zostawiam ci go do dyspozycji w razie potrzeby.
- I twój Urban stroił fortepiany?
- Urban udawał, że ma niezawodny sposób wypędzania szczurów. Ladaco, jeszcze się obłowił. A ja przywoziłem trzysta franków cioci Dorze jako trofea mych trudów. Żebyście ją widzieli w tej chwili! Radziłem za ten kapitał nabyć chińskie dziecko!
- Gdzież się zjechałeś z admirałową?
- Po drodze, wypadkiem⁸⁶. *Mein Ehrenwort*⁸⁷!
- Chcemy wierzyć, chcemy! – kiwał głową Schöneich. – A wiesz, co się tymczasem stało z twym „Scherzem”?
- Pochwalił mi się dżokej, ledwie wysiadł w domu. Wygrał 25 000 w Baden.
- Uhm?... To i koniec. Herbert dowodzi, że koń już jego.
- Jego? A to jakim sposobem?
- Znalazł piękną nieznajomą.
- Cooo?... Herbert! *Potz Blitz*⁸⁸! Gdzie? Jak?
- Było to w Ems... – zaczął dumnie triumfator.
- W Ems?... Ty tam jeździłeś?...
- A tak. Towarzyszyłem pani...
- Mniejsza, komu towarzyszyłeś. Więc ta dama była w Ems na kuracji? Kto ona? Włoszka?...
- Ale gdzież tam! Poddana pruska z Poznania.
- Taak? Nie może być!
- Ależ niezawodnie. Czytałem w spisie gości...
- No, no, do rzeczy! Nie kłóćcie się. Polka czy Hotentotka, dość że kaducznie piękna! Wygrałeś zakład? Posiadłeś jej serce?
- Tak prędko?! Za wiele wymagasz!
- Dostałeś pocałunek?
- Nie, tak dalece...
- Uścisk dłoni, spojrzenie, obietnicę?
- Nie.
- Cóż pleciesz o wygranej?

⁸⁵ *mein Wort* (niem.) – dosł. moje słowo; słowo daję. [przypis edytorski]

⁸⁶ *wypadkiem* – dziś: przypadkiem. [przypis edytorski]

⁸⁷ *mein Ehrenwort* (niem.) – moje słowo honoru. [przypis edytorski]

⁸⁸ *potz Blitz* (niem.) – przekleństwo: do pioruna, a niech to itp. [przypis edytorski]

– Bo jestem na drodze do wygranej. Znalazłem ją, wiem, jak się nazywa, gdzie mieszka; posłałem jej bukiet z cyklamenów...

– Który przyjęła?

– No, nie... odesłała...

– A to dopiero droga szczególna do wygranej! Jesteście obydwaj fryce⁸⁹. Zabieram sobie „Scherza” i „Fingala”. Wentzel stroił fortepiany, a ty posyłałeś bukiety... nieprzyjęte. Istotnie, rezultat zdumiewający!

– Powoli, powoli, powoli Michel! – zawołał Croy-Dülmen. – Jeszcze termin nie upłynął. Niech Herbert powie, co zdołał.

– Przecie już słyszałeś. Dostał figę.

– Dostałem fotografię! – pochwalił się właściciel „Fingala”.

– Pokaż, pokaż! – zawołali wszyscy.

Herbert dobył z pugilaresu ozdobną kartkę. Tak, była to ona, ta sama cudownie piękna dziewczyna o dumnych ustach i poważnych, głębokich oczach.

Schöneich z kolei wziął fotografię, obejrzał i ruszył ramionami.

– I takiej ty posyłasz bukiety? Przyznaj się, że i tę podobiznę kupiłeś u fotografa.

– A, no, prawda! Przecie nie mogłem prosić, bo...

– Boś jej głosu nie słyszał.

– Owszem, ale mówiła do swej towarzyszki.

– Więc była i eskorta?

– A jakże. Stara, okropna megiera w przeraźliwej żałobie. I panienka ubierała się czarno. Chodziłem za nimi jak cień i może wreszcie znalazłbym sposobność poznamienia się, choć z trudem, bo ci Polacy trzymają się klanem, gdyby nie to...

– Że usłyszałeś impertynencje...

– A gdzie tam! Na domiar nieszczęścia pod koniec sezonu przyjechał do nich jakiś facet, jak siarka chłop, i nie odstępował na krok.

– Pewnie narzeczony.

– Nie, krewny. Nazywali się po imieniu.

– No, więc ty go wyzwiałeś i zabiłeś...

– Jakże, bez powodu? Dałem za wygraną i wyjechałem, ale mam plan obmyślony, niezawodny.

– Ciekawym usłyszeć ten twój plan pierwotny! – szydził Schöneich

Croy-Dülmen zrazu słuchał zawstydzony.

Herbert okazał się rozumniejszy od niego.

Była to hańba, skaza na opinii.

Ale w miarę opowiadania uspokoił się zupełnie. Przeciwnik, wedle wyrażenia barona Michała, zjadł mydło. Więc hrabia uśmiechnął się lekceważąco, sięgnął po ananas i począł go krajać na wety⁹⁰. A Herbert roztaczał swój plan.

– Jadę do Poznania, kupuję w sąsiedztwie majątek i zaczynam starać według wszelkich form. W ostateczności gotówem⁹¹ się ożenić.

– Jeżeli cię zechcą! – mruknął Schöneich.

– Mnie?! – oburzył się magnat.

– Żebym był panną, to bym odmówił.

– Kto by tam tobie proponował!

– Możem nieładny, nieszykowny?

– Śliczny! – parsknął śmiechem Wentzel. – Jakże się wabi ta piękna Polka, Herbercie?

⁸⁹ *fryc* (daw.) – nowicjusz, początkujący, debiutant, gapa; por. frycowe (płacić). [przypis edytorski]

⁹⁰ *wety* (daw.) – deser. [przypis edytorski]

⁹¹ *gotówem* – skrócone od: gotów jestem (przykład konstrukcji z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

- Jadwiga.
- One wszystkie widocznie Jadwigi.
- Albo znasz więcej tego imienia?
- Moja matka była Jadwiga – mruknął niewyraźnie, spuszczać oczy nad talerzem.
- Nazwisko dzikie, trzeba się zakrzuszyć: Chrząstkowska...
- Jak? Co?

Hrabia upuścił nóż na stół: twarz jego wyrażała okropne zdumienie i komiczny przestrah.

– Chrząstkowska! – powtórzył Herbert, kalecząc niemiłosiernie wyraz i krzywiąc się, jakby jadł cytrynę.

- A ten młody, co jej towarzyszył, także Chrząstkowski?
- Zdaje mi się.
- Jan?
- Skądże mogę wiedzieć? Co tobie?
- *Verflucht, verdammt*⁹² – krzyknął hrabia, zrywając się na równe nogi. – Bywajcie zdrowi!
- Sfiksował! – wołał Schöneich.

Jak admirał, Wentzel nie wziął reszty; z paltotem dogonił go lokaj na schodach; kapelusza zapomniał. Jak szalony wyleciał na ulicę.

Taranty stały przed bramą. Skoczył do karety.

– Do pana Sperligna! Galopem!

Konie pognały jak wichur, krzesząc iskry z kamieni; latarnie migały jak błędne ogniki, stangret bezustannie krzyczał: „baczość!” – policjanci daremnie wołali – konie niosły aż na drugi koniec miasta, gdzie mieszkał plenipotent hrabiego, młody jurysta⁹³, kolega z uniwersytetu.

Wentzel wyskoczył w biegu, zginął w bramie.

– Jest pan Sperling? – spytał szwajcara.

– Nie wychodził, a może nie wrócił.

– Cóżś robił, słomiana lalko? – zawołał panicz groźnie i ruszył na schody, skacząc po cztery stopnie.

Od urodzenia tak się nie zmęczył i od urodzenia nie odwiedzał plenipotentów – dawał audiencje u siebie w pałacu. Toteż, gdy zadzwonił – Sperling, otwierający zamiast lokaja, aż się cofnął z podziwu.

– Pan hrabia? Co się stało?

– Gdzie listy, któreś ode mnie zabrał?

– Są u mnie.

– Pokaż ten z dzikim podpisem, z Poznania, gdzie pytają o metrykę mej matki.

– Zaraz, proszę do gabinetu.

Weszli do izdebki, zawałonej foliałami⁹⁴; przy biurku pisała młoda kobieta.

– Moja żona, hrabia Croy-Dülmen – przedstawił adwokat, a potem, zwracając się do niej, spytał:

– Gdzie są listy hrabiego, Lili?

Kobieta w milczeniu podała pakiet, skłoniła się i wyszła.

Sperling przerzucił zwitek, Wentzel targał wasy. Nareszcie znaleziono kwestionowany⁹⁵ list. Nosił adres pałacu Pod Lipami i pisany był złą niemieczyzną. Hrabia go znalazł w stosie innych na biurku, odczytał, a ponieważ był w interesie prawnym, polecił odpowiedzieć Sperlingowi. Teraz porwał go gorączkowo i przeczytał raz, drugi; zawierał, co następuje:

⁹² *verflucht, verdammt* (niem.) – przekleństwo: cholerny, przeklęty itp. [przypis edytorski]

⁹³ *jurysta* (daw.) – prawnik. [przypis edytorski]

⁹⁴ *foliał* (z łac.) – księga wielkich rozmiarów. [przypis edytorski]

⁹⁵ *kwestionowany* – tu: ten, o który pytano. [przypis edytorski]

„Szanowny Panie! W imieniu pani Tekli Ostrowskiej udaję się do niego w następującym interesie. Po zgonie śp. Wacława Ostrowskiego, w maju bieżącego roku, potrzebne są dla formalności prawnych spadkowych: metryka i świadectwo ślubu i zgonu śp. Jadwigi Ostrowskiej hrabiny Croy-Dülmen, o które to papiery w kopii ośmielam się upraszać. Na kosztą stemplowe i pocztowe załączam 25 marek ufając, że Szanowny Pan drobnej tej prośbie nie odmówi.

Przy czym pozostaję z należnym szacunkiem
Jan Chrzastkowski.

Adres mój następujący: *Provinz Posen*, poczta Braniszcz, majątek Mariampol”.

Wentzel przetarł oczy i powtórzył półgłosem:

– Chrzastkowski, Chrzastkowski! – potem spojrział na Sperlinga i spytał – Aleś jeszcze nie odpisał, sądzę?

– Owszem. Nie odkładam nigdy do jutra.

– Człowieku! I cóżeś odpisał?

– Co pan hrabia polecił: że nie ma ani czasu, ani ochoty na szperanie w dokumentach, a papierów po matce nie wie nawet gdzie szukać; dawno je darował szczerom.

– *Donner und Blitz*⁹⁶! Czarno na białym... Taka monstrualna obraza! Czyś zwariował?

– Nie ja, panie hrabio – rzekł z ukłonem jurysta.

– I list poszedł?

– Przed godziną.

Wentzel garściami wziął się za włosy.

– Trzeba go wycofać!

– Poczta nie wydaje.

– *Zum Kuckuck*⁹⁷ poczta! Ja ją własnymi rękami podpale, byle ten nieszczęsny list zatrzymać. Prędejj, bierz kapelusz, jedźmy.

I stała się rzecz niesłychana: Wentzel, patriota i zapaleniec pruski, kłął tego wieczora zarząd niemiecki, złażał od „lumpów” urzędników pocztowych, groził pobiciem starszemu, proponował łapówki – i nareszcie około północy znalazł się w kancelarii cyrkułu⁹⁸, oskarżony o naruszenie porządku, o gwałt, o nieposzanowanie przepisów, o obraźliwe słowa i ruchy.

Sperling dawno był uciekł. Bojąc się awantury i rozgłosu młody człowiek uznał się winnym, zapłacił sto marek kary i został przez żandarmów odprowadzony do karety.

Postawił jednak na swoim: list Sperlinga miał w kieszeni – okazał się mocniejszym nad rygor pruski.

Nazajutrz ciocia Dora wracała wcześniej z rannej mszy rozpromieniona powrotem wychowańca. Radość przy spotkaniu z nim zagłuszyła dawny żal, zawód i słuszne oburzenie. Przyjęła go zgodnie z parabolą⁹⁹ o synu marnotrawnym.

Powóz jej wyminął przy bramie inny. Był to wolant hrabiego – a dalej dorożka, przy której krzątał się Urban, ładując walizy.

Cioci Dorze zastygła krew w żyłach.

– Co ty robisz? – spytała lokaja.

Nim zdołał odpowiedzieć, hrabia się zjawił w paltocie i kapeluszu, nakładając rękawiczki.

– A, ciocia wraca od św. Jadwigi! – zagadnęła wesoło. – Dzień dobry!

⁹⁶ *Donner und Blitz* (niem.) – przekleństwo: do stu piorunów (dosł. grzmot i błyskawica). [przypis edytorski]

⁹⁷ *zum Kuckuck* (niem.) – przekleństwo: do diabła (dosł. do kukułki). [przypis redakcyjny]

⁹⁸ *cyrkuł* – okręgowy posterunek policji; komisariat (w zaborze ros.). [przypis edytorski]

⁹⁹ *parabola* – przypowieść. [przypis edytorski]

- Co to jest? Gdzie ty jedziesz?
- Ja jadę do św. Jadwigi!
- Do kościoła? Z rzeczami?!
- Uhm, myślę odprawiać tam rekolekcje!
- Co ty gadasz! Takie nieładne żarty! Mów prawdę. Kiedy wrócisz?
- Po rekolekcjach. Do widzenia! Czy kupiła już ciocia chińskie dziecko?
- Pfe! Dorosły człowiek, a błaznuje jak łobuz! Jesteś źle wychowany!
- No, to mi ciocia pierwsza mówi w życiu! Ach! Ja nieszczęśliwy! Czyż nigdy nie znajdę łaski w cioci oczach? To mnie do grobu wpędzi!

Załamął ręce ruchem teatralnego kochanka. Panna Dorota zakryła twarz aksamitnym modlitewnikiem i podreptała szybko na górę.

– *Marsch*¹⁰⁰! – zakomenderował hrabia stangretowi.

Wolant wytoczył się na ulicę i popędził na dworzec kolei.

Wentzel był tak zajęty, że nawet nie spojrzął w okna hrabiny Aurory. Co prawda, nie ciekawy był zobaczyć admirala.

¹⁰⁰ *marsch* (niem.) – marsz (forma rozkazująca czasownika). [przypis edytorski]

V

Z pomocą karty geograficznej odnalazł Croy-Dülmen miejscowość Braniszcze.

Była to duża wieś o dziesięć wiorst od kolei żelaznej, przetrnięta szosą i posiadająca pocztę, telegraf, doktora, aptekę, szkółkę i oberżę „Pod Smokiem”.

Do owej tedy oberży w ulewny deszcz, odkrytą kariolką bez resorów, zajechał pewnego wieczora panicz berliński z nieodłącznym Urbanem, obydwaj zziębnięci, potłuczeni i w szkaradnych humorach. Lokaj przez uszanowanie milczał, hrabia kłął. Istotnie, ciężka to była wyprawa.

Blichtr niemiecki ginął o parę kroków za plantem¹⁰¹ kolei – dalej leżał kraj obcy, nieprzyjaźni ludzie, nieznane stosunki, niezrozumiały język.

Zaborcy skaleczyli mowę miejscową, a nie nauczyli swojej – z tego stworzył się żargon, którego ani rodowity Niemiec, ani Polak z innych stron nie potrafiłby zrozumieć. Był to bigos słowiańsko-germański, przeraźliwy.

W oberży gospodarz powitał dostojnego gościa tysiącem ukłonów; należał do jakiejś nieokreślonej rasy, wyrażał się jak krowa po hiszpańsku.

„To dopiero Metys polsko-pruski!” – pomyślał Wentzel wzgardliwie.

Dnia tego nie można było myśleć o dalszej podróży. Rozgościł się w najlepszej izbie, zjadł kolację i legł spać, zdając bezpieczeństwo swej osoby i mienia w ręce wiernego Urbana.

Gdy się obudził, na świecie było południe.

Bolały go członki od twardej pościeli, a głowa od mocnej woni siana; przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje.

– Urban! – zawołał.

Drzwi się otworzyły, w promieniach światła ukazała się wypomadowana, uczesana modnie głowa lokaja.

– *Was gibt's*¹⁰² – ziewnął Croy-Dülmen.

Sługa tempem żołnierskim przymaszerował aż do łóżka, wyprężył się jak struna i wyraportował jednym tchem:

– *Gut Mariampol; Besitzerin Wohlgeborene Frau Thekla von Ostrowska; liegt ungefähr zwei Meilen nach Osten*¹⁰³!

– Głupiś ze swoim *Osten*! Nająłeś konie?

– Pocztę, jasny panie.

– To dobrze. Będę wstawał.

Urban przyjął tę wiadomość głębokim ukłonem i zamilkł, zajęty toaletą pańską.

Nie odzywał się nigdy niezapytany.

A Wentzel stroił się jak na królewskie salony, z całą starannością kobiecego ulubieńca i wytwornego eleganta.

– Gdzieś dostał wiadomość? – zagadnął. – Któż tu rozumie po ludzku?

– *Poczhalter*¹⁰⁴, jasny panie, jedyny cywilizowany człowiek. *Ein echter Preusse*¹⁰⁵!

– Pani Ostrowska sama mieszka?

– Po śmierci męża mieszka przy niej panienka, sąsiadka, *Fräulein von Żonżoska*, której brat, *Herr von Żonżoski*, zarządza majątkiem i interesami.

¹⁰¹ *plant* – teren wydzielony pod torowisko kolei. [przypis edytorski]

¹⁰² *was gibt's* (niem.) – co nowego, co słyhać. [przypis edytorski]

¹⁰³ *Gut Mariampol (...) nach Osten* (niem.) – majątek ziemski Mariampol; posiadaczka wielmożna pani Tekla Ostrowska; leży około dwóch mil na wschód. [przypis edytorski]

¹⁰⁴ *poczhalter* (z niem.) – urzędnik pocztowy. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ *ein echter Preusse* (niem.) – prawdziwy Prusak. [przypis edytorski]

– Cóż o nich wszystkich mówi poczthalter?

Urban pozwolił sobie na gest oburzenia.

– *Schauerhafte Geschichten*¹⁰⁶! Niemców tam nie puszczają na dziedziniec, nie przyjmują na służbę. Stara pani nie przyjmuje nikogo, kto ich językiem nie mówi, a pan Żonźoski przestrzelił sobie umyślnie prawą rękę, żeby nie służyć w armii naszej.

– Ho, ho! Scewola¹⁰⁷! – mruknął Wentzel. – Daj perfum. A o panience nic nie mówił?

– Panienka jest okropnie dumna! *Sie ist verlobt mit Herrn von Glembocki aus Struka*¹⁰⁸.

– Masz zdumiewającą pamięć. Tymi nazwiskami można język połamać. No, daj mi tu kawy i każ konie zakładać.

Urban zwrócił się na pięcie i zniknął.

W godzinę potem Wentzel siedział na bryczce pocztowej i rozglądał się ciekawie dokoła. Okolica była płaska, piaszczysta, starannie uprawna, przerzięta siecią dróg i strumyków. Wsie tylko brudne, nieporządne, stanowiły smutny kontrast z osadami Niemców rozrzuconymi tu i ówdzie. Wzdłuż gościńca dwory stały z rzadka jak baszty samotne, ciche, zamyślane zda się, w wieńcu włoskich topoli. Istotnie, były to bastiony zdobytej fortecy. Ona sama kruszyła się i rozpadała w ruinę pod naciskiem zdobywcy: wieżycy stały, patrząc z góry na zniszczenie i zgubę – zachowały jeszcze na swym czole starą wiarę, starą krzepkość i starą tradycję. Zdobywca obchodził je, czekając cierpliwie na czas i na wewnętrzną niezgodę. Na moralną siłę i opór nie było materialnego sposobu.

Hrabia spytał o nazwę pierwszego dworu, ale pocztylion odwrócił się, popatrzał nań i zaśmiał się, trzęsąc przecząco swą płową sarmacką czupryną.

– Nikiej nie rozumiem, wielmożny panie! – rzekł.

– Ciekawym, jak się poczthalter z nim porozumiewa – mruknął Niemiec, a Urban na koźle zawyrokował:

– *Polnisches Vieh*¹⁰⁹!

Chłopak musiał to słyszeć nieraz z ust swego chlebobawcy, bo błysnął w stronę lokaja wilczym spojrzeniem i odparł zajadle:

– Bodaj cię kolki rozparły, szwabska pokrako!

Do jednego wreszcie dworu zawrócił Mazur po parogodzinnej jeździe. Skręcił z gościńca w topolową wysadę, śmignął biczyskiem po szkapach, przytknął trąbkę do ust i oznajmił gości wesołą pobudką. Po murowanym moście wpadli na dziedziniec, objechali galopem trawnik usiany gęsto krzewami i po brukowanym podejździe dotarli do drzwi wchodowych¹¹⁰.

Tu chłopak całą siłą zatrzymał swój niesforny zaprzęg, a biczyskiem wskazał kogoś stojącego obok oficyn.

– A ot i panicz z Olszanki stoją – rzekł.

Wentzel rzucił okiem w tamtą stronę. Był to ów blondynek z teatru, tylko że nie w stroju balowym, ale w długich butach, szamerowanej węgierce i prostym słomianym kapeluszu.

Popatrzył na pocztowe konie i, zamiast iść przyjmować gości, zawrócił na folwarczny dziedziniec.

Hrabia wysiadł z bryczki, a ponieważ nikt na spotkanie nie wychodził, więc otworzył ciężkie drzwi i wszedł do obszernej mrocznej sieni.

Dopiero teraz ukazał się ktoś żywy – w osobie starego zgarbionego lokaja w ciemnej liberii.

¹⁰⁶ *schauerhafte Geschichten* (niem.) – okropne historie; opowieści takie, że ciarki przechodzą. [przypis edytorski]

¹⁰⁷ *Scewola* – właśc. Gaius Mucius Cordus; legendarny bohater rzymski, który został wysłany, by zamordować króla etruskiego Porsennę oblegającego ze swą armią Rzym w 508 p.n.e.; gdy został jednak schwytany w obozie wroga, włożył rękę w ogień, by dowieść, że nie strasze mu tortury ani śmierć; takie męstwo przekonało Porsennę, by puścić wolno zamachowca; nosił on odtąd z chlubą przydomek Scaevola, tzn. Mańkut. [przypis edytorski]

¹⁰⁸ *Sie ist verlobt (...) Struka* (niem.) – jest zaręczona z panem Głębockim ze Strugi. [przypis edytorski]

¹⁰⁹ *polnisches Vieh* (niem.) – polskie bydło. [przypis edytorski]

¹¹⁰ *wchodowy* – dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

– Czy pani przyjmuje? Oto mój bilet – rzekł po niemiecku hrabia, wyjmując bilet.
Ale sługa rękami tylko strzepnął.
– Pan nie mówi po polsku? – spytał.
Wentzel ramionami ruszył – nie rozumiał.
– To proszę do oficyny... bo pani... tego... nie zechce gadać... tego... nie rozumie... – jękał stary złą niemczyzną.

– Może przyjmie, spojrzawszy na bilet – protestował młody człowiek.
– Eh, nie, żeby i z nieba bilet... tego... pani nikogo takiego... nie widuje. To pan Jan... umie po szwabsku. Proszę pana... ja... tego... zaprowadzę.

Poszli tedy przez dziedziniec na folwark, do dużej murowanej oficyny. Stary poprowadził Niemca do środka, gdzie u okna siedział młody człowiek, blondyn, i gwizdząc robił naboje do strzelby. Dwa gończe powitały obcego groźnym warczeniem, a ich pan podniósł obojętnie głowę.

– Cicho, Śpiewak. A czego tam, Walenty?
– Niemca przyprowadziłem do panicza, żeby go wyrozumieć.
Blondyn zerwał się żywo, zdjął kapelusz, odsunął z biurka patrony, kopnął nogą burczące psy i powitał przybyłego dość znośną niemiecczyzną.

– Czym mogę panu służyć?
– Właściwie przyjechałem z wizytą do pani Ostrowskiej i sądzę, że przyjęłaby mnie, gdyby jej dano mój bilet. Ale ten zwyczaj, jak widzę, nie jest tu jeszcze w użyciu.

– Owszem, ale pani Ostrowska nie rozumie ani słowa po niemiecku i wątpię, czyby pana przyjęła. Z kim mam przyjemność?

– Jestem wnuk pani Ostrowskiej, Croy-Dülmen.
– Jan Chrząstkowski, jej sąsiad i wychowaniec.

Skłonili się sobie wzajemnie, przy czym gospodarz podał krzesło i sam usiadł.
Gdy tak siedzieli naprzeciw siebie, stanowili dziwny kontrast i ciekawe studium. Jeden – szczupły, delikatny, salonowiec od stóp do czoła, o głowie patrycjusza, zimnej a dumnej – piękny chłopiec, ale pięknnością wielkomięską, rozdenerwowaną i bladą. Oczy jego patrzyły na świat z wyrazem zmęczenia, przesytu i pogardliwej pewności siebie, usta miały przykry grymas cynizmu i szyderstwa.

Naprzeciw niego ten ogorzały wieśniak, rozrostły, muskularny, niedbały o szablon światowy, a swobodny, żywy, prosty jak leśna drzewina.

Wichrowata, swawolna, szeroka natura wyglądała mu ze szczerych, siwych oczu. Było to dziecko rozległych pól, wsi – otwarte, ogniste, a dobre jak biały chleb wielkopolski.

Czuć było jednak, że wraza¹¹¹ mowa ścisła mu duszę wspomnieniem krzywdy, że narodowość gościa tłumiła w nim wszelkie dobre instynkty, wyrzucała na wierzch z serca całą niechęć, zaciętość i cichą wściekłość zwyciężonego.

Croy-Dülmen pierwszy się odezwał:
– Bardzo mi przykro, że rodzina mej matki nie zawiadomiła mnie o śmierci dziadka. Chociaż prawie obcy, nie omieszkałbym odwiedzić babki zaraz po tej ciężkiej stracie. Dowiedziałem się o zgonie dziadka zaledwie z listu pana i pośpieszyłem zaraz z wypełnieniem smutnego obowiązku. Sądzę, że babka uwzględni moje pobudki i, choć Niemca, raczy wysłuchać. Możemy zresztą porozumiewać się po francusku.

– Pan pozwoli, że jej te słowa powtórzę – rzekł Chrząstkowski wstając.
– Bardzo proszę o to.
Polak wyszedł i wrócił po chwili.
– Pani Ostrowska pozwala panu przyjść. Wymaga wyłącznie francuskiej rozmowy.
Była to audyencja jak u cesarza.

¹¹¹ wraży – obcy, wrogi. [przypis edytorski]

Croy-Dülmen pokręcił głową, ale nadzieja ujrzenia pięknej siostry Chrząstkowskiego stłumiła budzącą się niecierpliwość. W milczeniu wziął kapelusz i poszedł za przewodnikiem.

Pod gankiem stała poczta i Urban siedział na stopniu bryczki, melancholijnie wodząc oczami po niebie. I pan, i sługa, nie byli przyjeźci z otwartymi ramionami. Zdarzyło się to im po raz pierwszy w życiu i tym ciężiej dotykało. Stary sługa spotkał ich z lampą w ręku i poprowadził w głąb domu po ciemnych pustych salonach; nareszcie otworzył jedne drzwi i wpuścił ich do niewielkiego, słabo oświetlonego gabinetu. Dwie świece, osłonięte zielonymi umbrelkami, rzuciły krąg jasności na stół przykryty ciężkim, wzorzystym adamaszkiem, przy którym siedziały dwie kobiety: jedna z robotą włóczkową w ręku, druga pochylona nad rozwartą książką. Czytała głośno – słyszał Croy-Dülmen w sąsiednim pokoju; na skrzyp drzwi urwała nagle, podniosła powoli oczy i spuściła je znowu.

Mała, żywa i jeszcze czerstwa staruszka opuściła na stół kościane druty, przechyliła się za obręb światła, zasłoniła dłonią oczy i zagadnęła niecierpliwie:

– Czy wy się dziś nie uspokoicie? Kto tam znowu?

– Ja, babuniu – zabrał głos Chrząstkowski. – Przyprawiam was wedle pozwolenia, hrabiego Croy-Dülmen.

– Ano, to wchodzi i zamyka drzwi. Ten pan może raczy się zbliżyć i przywitać sam.

Nie wstała, ale tylko protekcyjnie kiwnęła głową na głęboki ukłon młodego człowieka. Oddał również głęboki ukłon młodej czytelniczce.

– Hrabia Croy-Dülmen, moja siostra – przedstawił Jan po francusku.

Panienka w milczeniu skłoniła lekko swe piękne blade czoło – nic więcej.

– Ja nie mówię po niemiecku – zaczęła staruszka – ale pan rozumie po francusku?

– Naturalnie – potwierdził w ponownym ukłonie.

Stał wciąż jeszcze z kapeluszem w ręku, a bystre oczy pani Ostrowskiej oglądały krytycznie tego nieznanego, obcego zupełnie syna jedynej córki. Jan przysunął gościowi krzesło. Zaległa chwila milczenia. Pierwszy raz czuł się piękny panicz zakłopotany, zmieszany, niezdolny rozpocząć rozmowy. To przyjęcie odurzyło go jak cios obuchem po głowie. Sądził, że zrobi swą wizytą honor i rozradowanie: czuł się traktowany jak natręt, z widoczną chęcią pozbycia się go co rychlej. Młody obywatel usiadł obok siostry i milcząc kręcił swe jasne wąsiki; panienka przerzucała machinalnie kartki książki; babka, obejrawszy gościa uważnie, wzięła znowu druty. Trzeba było samemu iść do ataku.

– Mówiłem właśnie przed chwilą panu – spojrzał na Jana – jak mi przykro, że nie zostałem zawiadomiony o zgonie ojca mej matki. Byłbym tu od dawna, szczęśliwy, gdybym mógł w czym służyć. List pana Żonźoskiego...

– Co? Jak? Jak pan powiedział? – zaperzyła się staruszka. – Co to? Drwiny? Umyślnie kaleczysz nazwisko?

Croy-Dülmen poczerwieniał jak żak, obejrzał się, nie wiedząc, co dalej mówić i czy nie lepiej uklonić się i jechać.

Wtem piękna dziewczyna podniosła głowę; na twarzy przez wyraz powagi przedzierał się mimowolny uśmiech.

– Babunia zapomina, że hrabia po raz pierwszy w życiu wymawia polskie nazwisko, do tego tak trudne jak nasze – ujęła się spokojnie.

– Oho, oho! Znam ja tych arogantów! Ojciec tego młodzika, gdy tu wszedł, niosąc zgubę biednej naszej Jadwini, był tak słodki, taki miły, tyle obiecywał! Miał Jadwinę co rok nam na święta przywozić, syna, jeśli będzie, oddać na wychowanie. Złote góry! Tymczasem porwał ją do swego zamku rozbójnickiego nad Ren i tyleśmy ją widzieli. Słowo Niemca to fałsz... Moja jedyna córka umarła wśród obcych, wrogów, sama. Nie dano nam znać o chorobie i śmierci.

– W tym przynajmniej nie ma mojej winy. Miałem wówczas trzy dni wieku – wtrącił Croy-Dülmen.

– Zrobiłbyś to samo! – przerwała, zapalając się coraz mocniej. – Każdy z was taki. Znam ja was. Cierpiałam całe życie za to, że córce mojej pozwoliła zrobić mezalians.

Hrabiemu wypadł z ręki kapelusz. Otworzył usta, wlepił wzrok w staruszkę.

Co? Mezalians zrobiła ta polska szlachcianeczka? Jego ojciec, hrabia od krzyżowych wojen, był jej niegodnym!

Czy to dom wariatów, czy on śni?

Potem nagle ogarnęła go wściekłość – zbiełał, zębami gryzł do krwi wargi, w piersi huczał mu orkan śmiertelnej obelgi.

– Nie przyszedłem tu po krytykę i sąd mego ojca i moją narodowość¹¹² – zaczął głucho. – Rodziców obojga nie pamiętam, o mezaliansach mam wręcz przeciwne przekonanie; co zaś do Polaków, mamy względem nich najlepsze intencje.

– Znamy, znamy te wasze intencje! Wygnać nas precz, a przedtem wyzyskać wiarę, łatwowierność, zapal, zdolności, siły wszystkie. Czegóż milczysz, Jasiu? Opowiedz, jak twemu starszemu bratu pod Fröschweiler zagrali i jak padł tam w pierwszym szeregu, w pierwszym pułku! Tak, tak! Nie ma Wacia, nie ma mojej Jadwini!

Urwała. Gniew jej stopniał pod tym mogilnym wspomnieniem, spuściła głowę, a na robotę w drżących rękach spadły dwie wielkie łzy sierociej starości. Milczenie zaległo pokój.

– Babuniu! – upomniał, korzystając z chwili, Jan. – Hrabia jest pod naszym dachem...

– Mam prawo mówić prawdę: niech słucha.

– Słuchałem długo i cierpliwie – zaczął Wentzel dziwnym tonem – pani jesteś moją babką i starą, zbolełą kobietą; więc nie wdaję się w swary. Przyznaję jednak, że nie spodziewałem się takiego przyjęcia tam, gdzie osobiście nic nie zawinił. Jestem Niemiec wychowaniem, krwią, pojęciami i życiem, ale nie przestępowałem tego progu jako wróg. Moje intencje były czyste i prawe. Przepraszam najmocniej za żywe słowo, jeśli nim obraził. Chciałem, choć późno, poznać kraj mojej matki, myślałem, że zastanę tu rodzinę. Pozwoli pani się pożegnać.

– Proszę zaczekać, zobaczę, czy konie gotowe – rzekł Jan, zrywając się z miejsca.

Croy-Dülmen podziękował ukłonem i usiadł znowu. Czuł, że do domu tego nie wróci więcej i ogarnęło go gwałtowne pragnienie usłyszenia jednego choćby słowa z ust panienki. Pamiętał słowo w słowo rozmowę owej burzliwej nocy przed pół rokiem, jej wzgardę i gniew. Boże, co on jej wtedy mówił! Czuł się skazany bez odwołania.

Rozmowy zawiązać nie widział sposobu, gdy wtem ona spojrzała nań po swojemu, posępnie, i spytała:

– Pan bawi stale w Berlinie?

– Całe lato byłem nieobecny, pani. Część czasu spędziłem w dobrach, resztę we Francji.

– W Biarritz – dodała spokojnie.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie – czy była jasnovidząca?

Zrozumiała widocznie myśl wzroku, bo dorzuciła w formie objaśnienia:

– Hrabina Mielżyńska bawiła tam i spotykała pana.

Spuścił głowę i zarumienił się. Czy tylko tyle opowiedziała hrabina? W Biarritz on z hrabiną Aurorą uchodzili za małżeństwo. Istotnie, wiodło mu się szczęśliwie w tym domu.

Staruszka zajęła się robotą, spod oka niekiedy patrząc na wnuka, Prusaka. Nie mieszała się do rozmowy, myślała o czymś innym.

W tej chwili Jan ukazał się z powrotem.

– Konie gotowe – rzekł, wahając się – ale deszcz leje strumieniami.

Croy-Dülmen złożył dwa milczące ukłony i wyszedł z Chrzastkowskim. Deszcz padał jak z cebra. Młody człowiek wyszedł z gościem na ganek i wzdygnął się.

¹¹² Nie przyszedłem tu po krytykę i sąd mego ojca i moją narodowość – powinno być raczej: (...) sąd nad moim ojcem i moją narodowością. [przypis edytorski]

– Nie sposób jechać – zauważył. – Może pan się zgodzi przenocować u mnie w oficynie. Mam dwa pokoje na usługi.

Croy-Dülmen spojrział w szczerą twarz chłopaka.

– Pan się nie boi przyjmować Niemca na dziedzińcu pani Ostrowskiej?

– Jutro bym dostał burę, gdybym pana wypuścił w taki czas. Proszę za mną. A ty, przyjacielu, ruszaj do stajni ze zwierzętami, a potem spać do czeladzi. Wara mi tylko z papierosami. Walenty, parasol!

Po godzinie siedzieli obydwaj przed kominem, na stole szumiał samowar i dymiła obfita kolacja. Urban w sąsiednim pokoju słał łóżka.

Podobnego zakończenia całej awantury nie spodziewał się hrabia Croy-Dülmen.

Jana oderwano na chwilę do spraw gospodarskich.

Wentzel zamyślił się nad wypadkami ubiegłego dnia. Dziwny kraj, gdzie młodzież była tak cicha, skupiona w sobie, milcząca, a starzy przy siwych włosach zachowali gorące uczucia, zapal i siłę. Dziwny kraj, dziwni ludzie!

Pani Tekla to nie była ciocia Dora, którą można było ułagodzić konceptem i uśmiechem lub nastraszyć lada czym.

Młody człowiek to nie był pusty frant¹¹³ stołeczny lub nadęty oficer z gwardii; a ta dziewczyna – o, nie była to istota, której serce zdobywało się powierzchowną pięknnością, fizycznym urokiem lub słodkimi słowami.

Hrabia poruszył się niecierpliwie.

– Weźmie Michel „Scherza” – zamruczał upokorzony – i „Fingala” – dodał jako pociechę, ciskając w płomień niedopalone cygaro.

– Cóż pan taki markotny, hrabio? – ozwał się Jan.

– Na złą pogodę – odparł.

– Barometr idzie w górę – pocieszył wieśniak.

Usiadł znowu naprzeciw gościa i podrzucił dREW na ogień.

– U nas ziemniaki marniejają niewykopane – mówił dalej – a zasiewy niesporo¹¹⁴ schodzą w te słoty.

– Pan dzierżawi Mariampol?

– Nie, tylko administruję. Mam majątek o miedzę. Ojciec nas odumarł młodo; pan Wacław Ostrowski był naszym opiekunem. Teraz, po śmierci, odpłacam się pozostałej wdowie. Siostrę ona wychowała, niech staruszkę pielęgnuje. Mieszkam u siebie w Olszance, ale dojeżdżam tu co dzień.

– Pan nieżonaty?

Chłopak się zaśmiał. Ten śmiech zerwał lody.

– Czy wyglądam tak staro?

– Państwo tu wszyscy macie wygląd nad wiek poważny.

Chmura przeszła po czole Polaka.

– Ot, tak nam sądzono – mruknął wymijająco. – Na wsi pleśnieje się, obrasta mchem, grzybieje.

– Pan nie bywa nigdy w Berlinie?

– Byłem parę razy, ostatni raz przed śmiercią pana Ostrowskiego. Był jeszcze rzeźwy i nie spodziewaliśmy się wrócić tu z trumną.

– Więc to było tak nagle?

– Apopleksja po powrocie z teatru. Ale zdaje mi się, że wtedy pana widział w łoży, a potem w krzesłach. Byliśmy we troje, z Jadzią. Pan sobie nie przypomina.

¹¹³ *frant* – osoba rozmiłowana w eleganckich strojach i hulaszczym życiu; birbant, hulaka; także: człowiek niepoważny, komediant. [przypis edytorski]

¹¹⁴ *niesporo* – nieszybko, niełatwo. [przypis edytorski]

– Owszem. Siostra pana zwróciła szczególną uwagę. Żebym wiedział, że to mój dziad... Nazajutrz wyjechałem z Berlina.

– Nazajutrz pan Wacław już nie żył. Jak piorun przyszło. Biedna pani Tekla została samiutka jedna na świecie. Ni męża, ni bliskiej rodziny, ni dzieci. Pan nie powinien czuć do niej żalu za ostre słowa. Żywej jest natury, a taka nieszczęśliwa!

– Darowałem jej wszystko; żałuję, że dla niej czymkolwiek być nie mogę.

– Do rana jeszcze daleko, a pan bardzo do swej matki podobny, sądząc z portretu.

Doktor Voss za podobne zestawienie omal nie został obitym; teraz Wentzel nie zaprzeczył nawet ruchem.

Widocznie, że nabierał ochoty na ponowną wizytę u gniewliwej staruszki, nawet z perspektywą powtórnego łajania.

Ha, żeby jeszcze raz zobaczyć cudną siostrę Jana, posłyszeć głos, zajrzeć w mroczne głębie oczu! Dotąd nie zauważył, jakiego były koloru, tylko to czuł, że miały w sobie coś niepojętego, co ciągnęło i odpychało zarazem.

Ach, jakie one piękne byłyby w uczuciu, w uśmiechu, w kochaniu! Ach!

– Czy istotnie straciliście państwo brata we Francji? – ozwał się po przerwie.

– Istotnie, zginął zaraz na początku wojny. Był kapitanem w pułku poznańskim. Szukaliśmy z Jądzką daremnie grobu. Leży gdzieś we wspólnym dole. Wojna nie matka, lecz macocha. Wola boża! Zginął jak bohater! I pan służył?

– Tak, w gwardii. Pamiątek na skórze mam niemało, ale żyw wrócił z żelaznym krzyżem. Pod Fröschweiler byłem przy bateriach, widziałem atak poznański. Szli jak potępieńcy... Nie rozumiałem wtedy, dlaczego... Ha, to im nie hańba!

– I ta szrama na czole to z wojny order? – zagadnął Jan, nie podnosząc ostatniej uwagi.

– Nie, to z pojedynku. Fraszka! Czy mogę panu służyć cygarem? Prosto z Hawany...

– Dziękuję. Ja zaś nawzajem zaproponuję panu hrabiemu kieliszek tego maślacza. Wyborny!

– Na nową znajomość, z całą przyjemnością. Nie rozumiem ja was, a wy mnie macie za wroga, za szpiega może. Ten pierwszy kieliszek waszego miodu piję za zgodę i porozumienie, a jeśli zechcecie, na dobrą znajomość.

Wyciągnął dłoń do Polaka. Chrząstkowskiemu po raz pierwszy znikł przymus z twarzy. Podał bez wahania rękę.

– Lewą?! – uśmiechnął się Croy-Dülmen.

– Prawą mam uschniętą, bezwładną, ale lewa jest szczerą i wierną – odparł – może jej pan zaufać.

Wypili toast duszkiem.

Nie wiedział Wentzel, że tą krótką odezwą i podaniem ręki trafił lepiej do duszy Polaka niż tysiącem rozumnych dowodów i całym szeregiem faktów. Drobną tą sceną zyskał sobie sprzymierzeńca we wrogim obozie.

– A teraz spać – zawołał gospodarz, już zupełnie swobodnie – północ, a pan wygląda zmęczony¹¹⁵. I ja dziś dzień cały polowałem na zające.

Położyli się spać w jednym pokoju. Przedtem Polak, klęcząc, odmówił pacierz i z czołem schylonym bił się w piersi pokornie.

Niemiec patrzył na to zdumiony. Nie modlił się nigdy – zostawiał tę fatygę cioci Dorze.

¹¹⁵ pan wygląda zmęczony – dziś raczej: pan wygląda na zmęczonego. [przypis edytorski]

VI

Barometr Chrząstkowskiego mówił prawdę. Dzień wszedł jasny i pogodny. O świcie dzwon, wzywający do roboty czeladź, zbudził młodych i ludzi. Jan wstał zaraz, ubrał się i wyszedł do gospodarstwa. Wentzel założył ręce pod głowę i medytował nad swoim położeniem.

Minęła godzina czy dwie, gdy nagle rozwarły się z łoskotem drzwi i wpadł Chrząstkowski.

– Czy pan wie, co się stało? – zapytał.

– Skądże?

– Babka mnie wyłajęła.

– Tak rano? Za co?

– Za to, że pana puścił w noc i w deszcz.

– Przecież jestem!

– Ba, alboż mi dała przyjść do słowa?! Napadła z góry: jesteś źle wychowany! Niemcy cię nauczyli grubiaństwa i niegrzeczności! Taki deszcz, noc ciemna, choć oko wykol, i ty wypędzasz gościa na złamanie karku! Jaki ty Polak! Jaki ty gospodarz! Jaki ty chrześcijanin! Śpiewaka pewnie zatrzymałeś w izbie, a człowieka wyprawiasz z domu.

– No, aleś się pan wreszcie usprawiedliwił?

– Jakoś, z wielkim trudem. Co dała, to wzięłem.

– I cóż powiedziała potem?

– Nic, pokazała mi plecy i zaczęła gderać na kogoś innego. Czy pan ma ochotę na drugą wizytę?

– Jeżeli to możliwe, bardzo.

– Ano, to ja pójde po radę do Jadzi. Niech panu wstęp ułatwi.

– Czy pańska siostra wszechmogąca u staruszki?

– O, Jadzia! Ona, choć zawsze milczy i nawet oczu nie podnosi, z ludźmi co chce robi.

– I z panem.

– I ze mną, wyznaję. Taki u nas zwyczaj. Kobieta zawsze przewodzi: nie matka, to siostra; nie siostra, to żona. Dlatego to one takie harde i nieprzystępne: czują swą siłę. I ja sam nie przeczę, że siostra rozumniejsza ode mnie. Czemuż mam jej nie słuchać?

– Dziwni z was ludzie! Żeby mi przyszło do głowy słuchać rad której z mych znajomych, tobym po tygodniu dostał się do bonifratrów¹¹⁶. Co prawda, nasze damy wolą być prowadzone i kochane. To wygodniejsze.

– Nie mów pan tego pani Tekli.

– Ani pańskiej siostrze?

– O, Jadzia nie należy do zapalonych, wyznaje swobodę zdań¹¹⁷; ale babunia zmyłaby panu głowę.

– Dziękuję. Obejdę się bez tego zaszczytu. Losy zgodnego porozumienia składam w pana łaskawe ręce. Pragnę odjechać stąd w spokoju.

Jan wyszedł, a hrabia spiesznie się ubrał i czekał rezultatu układów pokojowych.

Szły widocznie z wielką trudnością.

Nareszcie zjawił się Jan.

– Gotowe. Babka czeka na pana.

Gdy wychodzili na dziedziniec, wysypała się naprzeciw nich gromadka dzieci z książkami w ręku.

Za nimi z bocznego ganku oficyny wyszła siostra Jana, z łagodnym uśmiechem na ustach tłumacząc coś dwom małym dziewczątkom, puciołowatym, jasnowłosym, w schludnych wełnianych

¹¹⁶ *bonifratrzy* – zakon opiekujący się umysłowo chorymi. [przypis edytorski]

¹¹⁷ *swoboda zdań* – tu: swoboda poglądów. [przypis edytorski]

sukienkach. Dzieciaki, zadartszy główki jak pisklęta, słuchały uważnie młodej opiekunki, potem, ucałowawszy jej rękę, pobiegły za innymi. Młodzi ludzie zbliżyli się do panienki z powitaniem.

– Pani utrzymuje ochronkę¹¹⁸? – zagadnął Niemiec.

– Są to dzieci oficjalistów i służby domowej. Uczę ich religii, historii i robót.

– Ach, co nas ta nauka kosztuje! – wtrącił Jan. – Co miesiąc pismo z bezirku¹¹⁹ płąć!

Panna Jadwiga rzuciła mu spojrzenie łagodnej wymówki. Pocałował ją w rękę.

– Już milczę, Jadziuniu! – zaśmiał się serdecznie. – Wszak to nie skarga była. Wiesz, że płacę bez szemrania.

– Pani lubi dzieci? – zagadnął Wentzel.

– Lubię – odparła lakonicznie. Widocznie nie było w jej zwyczaju opowiadać o sobie.

– Babka w ogrodzie; zaprowadź, Jasiu, pana hrabiego.

– A ty, co masz lepszego do roboty?

– Muszę się przebrać do obiadu.

– Aha! Zapomniałem, że czekasz na swego lubego Adama – zaśmiał się, mrugając swawolnie.

Ruszyła brwiami. Żaden nerw nie drgnął na tej lodowatej twarzy.

– Zapomniałeś, że się co dzień przebieram – odparła chłodno, odchodząc ku domowi.

Rozmawiali ciągle po francusku przez grzeczność dla gościa; teraz Jan zaczął po niemiecku, żartobliwie:

– Co prawda, wolę być jej bratem niż narzeczonym. Nie zazdroszczę memu przysłemu szwagrowi losu. Chwała Bogu, że ten człowiek posiada dobrą dozę cierpliwości.

– Pana siostra jest zaręczona?

– Nie wiem po co, ale jest. Z sąsiadem naszym, Adamem Głębockim. At!...

Nie dokończył, ręką machnął.

– Kiedyż wesele? – badał Croy-Dülmen.

– Nie wiem. Teraz żałoba. Pani Tekla ani słyszeć nie chce o małżeństwie, Jadzia po swojemu milczy na wszystko, a Głębockiego o zdanie nikt nie pyta. W takim stanie sprawy mogą się wlec *ad infinitum*¹²⁰, chyba się w to wmiesza opatrność i ja...

– Myślałem, że w Polsce żenią się tylko z miłości – zauważył Niemiec z uśmiechem.

– Kto ich tam wie, może się i kochają! Ja, znając Jadzię, sądzę, że idzie za Głębockiego przez obowiązek Polki.

– Czy ten pan jest odszczepieńcem?

– Nie, jest bankrutem. Jadzi szkoda ziemi polskiej oddawać w ręce obce: chce ją ratować swym posagiem. Bardzo problematyczne szczęście! Ale oto i babka.

– Pani Tekla gderała za coś na ogrodnika; spojrziała zezem na młodych ludzi.

Jan ją ucałował w rękę – pogładziła go po głowie. Niemcowi kiwnęła tylko po swojemu, sądząc, że jak wczoraj powita ją tylko ukłonem,

Stała się jednak rzecz niesłychana. Dumny panicz schylił pokornie swój hardy kark nisko, bardzo nisko – i rękę babki podniósł do ust jak wnuk i sługa.

Przez oczy staruszki przeszło zdumienie, może radość, ale nie zrobiła żadnej uwagi. On pierwszy zagaił rozmowę – naturalnie po francusku.

– Przepraszam za natręctwo, ale nie mogłem się zdecydować odjechać po wczorajszym rozstaniu. Może mi się uda pojednać pa... – zająknął się – pojednać babkę z Niemcami, chociażby ze mną jednym.

– Jeżeli nie masz innego zamiaru, to możesz sobie zaraz jechać i nie wracać. Pozwalam ci tu pozostać pod warunkiem, że mi nie wspomnisz nawet ich nazwy. Jesteś młodzik, możesz zmieniać

¹¹⁸ *ochronka* – daw. przedszkole; zakład dobroczynny zajmujący się wychowaniem ubogich dzieci. [przypis edytorski]

¹¹⁹ *Bezirk* – powiat, okręg, rejon. [przypis edytorski]

¹²⁰ *ad infinitum* (łac.) – w nieskończoność. [przypis edytorski]

sto razy zdanie, a ja, mój panie, siedemdziesiąt lat przeżyłam i pewnie, że nad grobem dla twoich pięknych oczu mych zasad nie zmienię. Dostyc o tym, jeśli chcesz obiadować w Mariampolu.

– My, babciu, od wczoraj rozmawiamy, ani razu nie wspomniawszy narodowości – rzucił pojednawczo Chrząstkowski.

Zamiast się uspokoić, zaperzyła się jeszcze bardziej.

– Już ty mi się tylko za przykład nie stawiaj! Gotóweś¹²¹ jeszcze zaprzyjaźnić się z Niemcem, tego Szwaba za kolegę obrać.

Croy-Dülmen skłonił się z uśmiechem.

– Świadcę się niebem¹²², że nie pierwszy wymówiłem tę okropną nazwę.

– Z konieczności, jakże mam powiedzieć? Jesteś Szwab, opite bawarem¹²³ Niemczysko!

– Jako żywo, nigdy piwa nie pijam! Nie lubiłem go nawet będąc studentem; a co do nazwy, jestem przecie ochrzczony, dla rodziny mam imię jak każdy.

Staruszka coś zamruczała. To wezwanie do pokrewieństwa nie rozczuliło jej bynajmniej, a jednak było to w ustach hrabiego monstrualne ustępstwo.

Za podobne zestawienie pojedykował się cztery razy w życiu – uważał je za sromotę i obelgę. W tej chwili, gdy kończył zdanie, ze szpaleru wyszła do nich smukła postać panny Jadwigi. Musiała słyszeć, bo po raz pierwszy spojrziała w oczy hrabiego i uśmiech lekko ironiczny drgał wokoło poważnych ust. Spotkali się wzrokiem – poczerwieniał jak winowajca złapany na gorącym uczynku zdrady i spuścił oczy zawstydzony.

Ach, ta nieszczęsna rozmowa na wiosnę! Czy rozum stracił wtedy, mówiąc swe *credo*¹²⁴ obcej, spotkanej na ulicy kobiecie? Jakież *fatum* go prześladowało! Co ona myślała o nim!

Pani Ostrowska na widok swej wychowanki wyrzuciła z serca żal na ogrodnika.

– To nieuk, osioł, próżniak! Okropność, jak ci Prusacy lud zdemoralizowali.

– To drugi raz! – szepnął hrabia Janowi.

Obydwaj spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się pod wąsem. Nic nie uchodziło oka cholerycznej staruszki.

– Cóż to śmiesznego? – zawołała z impetem. – U was wszystko żart, fraszka, nawet to, co was boleć powinno!

Tu spostrzegłszy się, że połączyła w swej admonicji¹²⁵ Niemca z Polakiem, machnęła tylko ręką i podreptała ku domowi.

– Et, co z wami gadać! – zamruczała na odchodnym.

Młodzi ludzie, obydwaj z natury weseli, zaśmiali się serdecznie; uśmiechnęła się nawet poważna panna Jadwiga.

Nagle pani Tekla obejrzała się i przystanęła.

– Słyszysz, Jadziu, turkocze! – wołała. – Już jedzie miły konkurent! Wybrałaś go, idźże sama bawić. Nie znam nic nudniejszego nad tego człowieka, ale to nie moja rzecz.

I poszła w inną stronę. Panienska spoważniała natychmiast i zwróciła się do domu, zrywając po drodze kwiaty z rabatki. Nie śpieszyła się wcale.

– Czy mamy ci iść w sukurs¹²⁶, Jadziu? – żartował Jan.

– Do woli – odparła po swojemu, krótko.

– Zostawiam ci swobodę pierwszego powitania, żebyś się nie potrzebowała krępować – drażnił się dalej.

¹²¹ *gotóweś* – skrócone od: gotów jesteś. [przypis edytorski]

¹²² *świadcę się niebem* – inaczej: niebo mi świadkiem, biorę niebo na świadka. [przypis edytorski]

¹²³ *bawar* – tu: piwo bawarskie. [przypis edytorski]

¹²⁴ *credo* (łac.) – dosł. wierzę; przen. wyznanie wiary, suma poglądów. [przypis edytorski]

¹²⁵ *admonicja* (z łac., daw.) – przygana, upomnienie. [przypis edytorski]

¹²⁶ *iść w sukurs* (daw.) – iść na odsiecz; przybyć z pomocą. [przypis edytorski]

– Czemu się nie nauczysz krępować języka? – odrzuciła z daleka.
– Z konieczności muszę mówić jako reprezentant rodziny. Żeby ten urząd tobie zlecił, miano by nas za głuchoniemych.

Nie odrzekła nic więcej i znikła w cieniu szpaleru.

– Pan Głębocki często bywa? – spytał Wentzel, patrząc uparcie w to miejsce, gdzie ją cień zakrył.

– Co parę dni, regularnie od obiadu do kolacji.

– Co robią narzeczeni? Rozmawiają?

– Z Jadzią! To by było trochę za trudno. Grają w domino i milczą; czasem przeglądają dzienniki i milczą; w wielkie święta chodzą na spacer i także milczą. W antraktach słuchają gderania pani Tekli.

– A pan co wtedy robi?

– Z początku dotrzymywałem im towarzystwa, ale się tak znudził, że odtąd uciekam na odgłos turkotu bryczki Adama. Ten nieszczęsny wysłuży sobie męczeńską koronę!

– Ma tak piękną nagrodę, że mu się nie dziwię – rzekł z uśmiechem Niemiec.

– Rzecz gustu. Jadzię wysoko cenię, szanuję, uwielbiam jako brat i Polak; ale zakochać się w niej to dla mnie niepojęte, to to samo, co uderzyć do serca tej brzozy u płotu. Mnie do kochania potrzeba życia, śpiewu, śmiechu, choć trochę kokieterii i żartu. Nieprawdaż?

– Niezawodnie. Arkadyjscy pasterze¹²⁷ wyginęli.

– Oprócz jednego Głębockiego. O, Walenty nas szuka. Pewnie obiad.

Zbliżyli się do służącego i weszli przez taras do wnętrza rezydencji. W sali jadalnej, przy wódce, ujrzał Wentzel cierpliwego Głębockiego. Był to człowiek średniego wzrostu i średnich lat, opalony, suchy, trochę łysawy blondyn. Patrzył spod brwi krzaczastych nieufnie; w ustach miał rys zacięty; długie w dół zwieszony wąsy czyniły go jeszcze dzikszym.

Musiał to być człowiek skrytej namiętności i niesłychanego panowania nad sobą.

Niebezpiecznie było z nim zaczynać walkę – był zazdrosny, mściwy i cierpliwy.

Jan ich zaprezentował – poprzestali na ukłonie. Czy przeczuwali, że będzie między nimi bój na śmierć i życie?...

– Jakże kartofle, Adamie? – zagaił Chrząstkowski.

– Niegorzej.

– A siewy?

– Schodzą.

„Dobrali się w korcu maku” – pomyślał Croy-Dülmen.

– A twoja „Norma” zdrowa?

Tu ożywiła się posępna twarz Głębockiego.

– Żdźarski targował ją wczoraj – odparł żywiej nieco.

– Sprzedałeś?

– Jeszcze nie. W ostateczności chyba.

– Przecie ją Jadzia chciała nabyć.

– Już nie chce. Mówiła mi...

– Jak to! Przecie coś mówiła? Niesłychane! – żartował wesoly chłopak.

Rysy Głębockiego skurczyły się kamienną ostrością: nie rozumiał żartów.

Wejście dam przerwało rozmowę. Zasiadli do obiadu. Narzeczeni siedzieli obok, ale nie mówili ani z sobą, ani z resztą towarzystwa. Jan z hrabią podtrzymywali rozmowę. Chrząstkowski wypytywał o stolicę. Wentzel przyszedł do siebie i dał się porwać na barwną, tryskającą dowcipem gawędkę. Opisywał berlińskie życie, zabawy, kółka, intrygi, aż wreszcie zdołał zaciekać babkę – rozmarszczył jej czoło. Wstali od stołu bez żadnej kłótni.

¹²⁷ *arkadyjski pasterz* – bohaterowie romansów sentymentalnych; platoniczni kochankowie. [przypis edytorski]

W salonie, wedle opowieści Jana, narzeczeni zajęli się milczącym przeglądaniem dzienników.
Młodzi ludzie¹²⁸

¹²⁸ *młodzi ludzie, młodzież* – daw. te określenia odnosiły się wyłącznie do płci męskiej, młode kobiety nie były tu zaliczane. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.